



Zeszyty TŁUMACKIE



II KWARTAŁ 1997

ISSN: 1426-4129

Nr 2 (6)

Pismo Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan — Wrocław



Spis treści

Wielkanoc w Tłumaczu – wiersz – Jan Johnson	1	
Moja Wielkanoc w 1944 r. – Jan Johnson	1	
Współczesny Tłumacz w obiektywie Andrzeja Gabańskiego	2	
„Odwiedziłam” Tłumacz w 1968 roku – Danuta Tabińska-Juhasz	2	
I Historia Tłumacza		
Lata 1801-1861 (c.d.) – Michał Nikosiewicz	4	
II Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym		
Kronika – Calendarium miasta Tłumacza i powiatu tłumackiego (c.d.) – Michał Nikosiewicz	5	
Ulice Tłumacza i ich mieszkańcy (c.d.) – Ks. Lesław Jeżowski	6	
Szkice do historii męskiej drużyny harcerskiej im. Ks. J. Poniatowskiego (c.d.) – Michał Nikosiewicz	8	
Okруchy wspomnień o tłumackich harcerkach i zuchach – Antonina Czohara-Sawicka	9	
O Seminarium Tłumackim – Helena Klimkiewicz-Główkowa	11	
Niezapomniana nauczycielka – Czesława Mandyna-Kramarz	13	
Kompania Obrony Narodowej „Tłumacz” – Henryk Wilczewski	15	
III Tłumacz w latach 1939-1945		
Lata dzieciństwa w Tłumaczu – Irena Bilińska-Pieśniewska	17	
IV Kościół pw. św. Anny – tłumaccy księża		
Obraz Wniebowzięcia NMP z Ottynii, pow. Tłumacz, w kościele parafialnym w Ligocie Książęcej k. Namysłowa – Tadeusz Kukiz	19	
V W cieniu białych nocy i czarnych dni		
Najjaśniejsze i najciemniejsze chwile mego życia (c.d.) – Anna Panachida-Bocheńska	21	
VI Tłumacki Holocaust		
„Sprawiedliwi – prawi nie Żydzi” – wyjątki z książki wydanej w Izraelu (c.d.) – Shlomo Blond	22	
VII Wiadomości z życia tłumaczan		
Kresowa Modlitwa – wiersz – Jan Johnson	24	
Goście z Anglii – Krystyna Ossowska-Korta	24	
Spotkanie opłatkowe – Nuśka Tomyn	24	
Jak to jest z tym herbem? – Henryk Wilczewski	25	
VIII Listy		
Mili Tłumaczanie! – Czesław Pelikan	25	
Moje widzenie Tłumacza – Czesława Koczwara-Kaluża	26	
Tęsknota (ballada) – Czesława Koczwara-Kaluża	27	
IX Odeszli		28
X Informacje		28
Lista ofiarodawców	28	
Okładka: Przedwojenna „lokalka” Tłumacz – Pałahicze.		

Redaguje zespół w składzie:

Danuta Tabińska-Juhasz – redaktor naczelny
Helena Bilińska, Anna Panachida-Bocheńska, Krystyna Ossowska-Korta

Redakcja techniczna:

Franciszek Borkowski

Adres Redakcji:

Klub Tłumacz TMLiKPW. 50-079 Wrocław, ul. Ruska 32/33, I p.
Skr. poczt. 1042, Wrocław 3. Tel./fax 071/44-88-93.
Konto bankowe PKO BP IV O/Wrocław Nr 10205255-107099-270-1-111.

Materialów nie zamawianych Redakcja nie zwraca. Zwracamy natomiast przysyłane nam zdjęcia lub widokówki Tłumacza. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych.

*Najserdeczniejsze życzenia
z okazji Świąt Wielkanocnych
wszystkim Tłumaczanom
i Sympatykom naszego pisma
składa Redakcja
i Zarząd Klubu Tłumaczan*

Jan Johnson

Wielkanoc w Tłumaczu

*Radośnie biją tłumackie dzwony
Chrystus Zmartwychwstał! Powtarzają światu:
Śmierć pokonana! Ogłaszają one,
A brat rękę podaje swemu bratu.
Idą więc wszyscy by chwalić Pana,
A wśród drzew już ptasie chóry
Wielbią Boga od samego rana
I od „Alleluja” drżą kościelne mury..
Ksiądz Tabaczkowski świeć Panie Jego duszy
Uśmiechnięty i radosny swój lud wierny wital..
Wspominając dziś, kto się nie wzruszył
I pieśnią: „Jako śliczny kwiat zakwita!”
Nieprzyjaciół podeptał, nad nędznymi się zmiłował..
Są to słowa, co nadzieję w serca wnoszą.
Choćby kto urazę w swoim sercu chował
Niech daruje... Jezus i Maryja proszą..
Święta Anna Samotrzecia, patronka Tłumacza
Z siedlakowickiego kościoła, co z łask swoich słynie
Z daleka swój Tłumacz opieką otacza,
To drogie miasteczko w zielonej dolinie.*

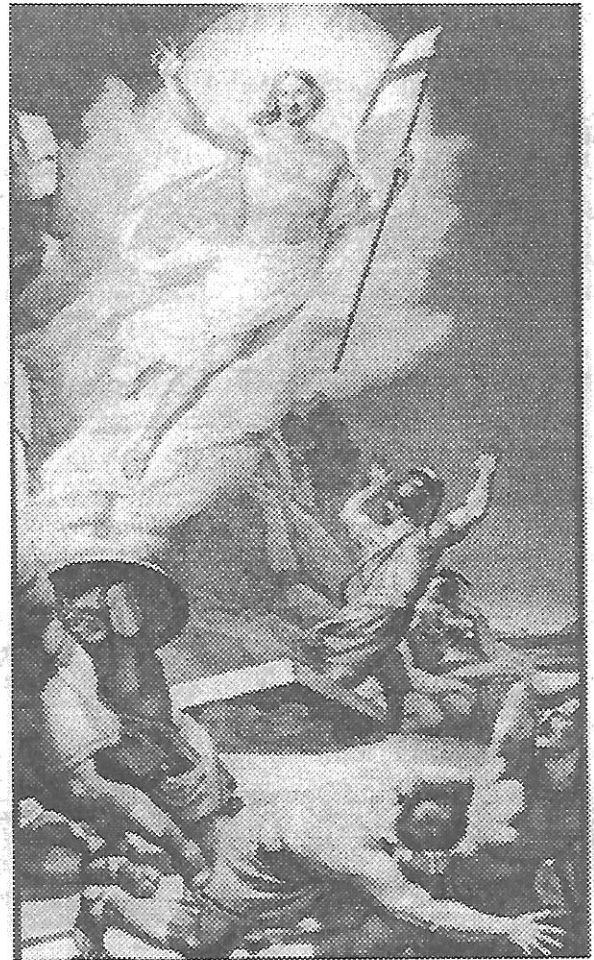
Moja Wielkanoc w 1944 roku

Jan Johnson

Działo się to na kilka dni przed Wielkanocą. Przyszła do nas moja ciocia, Bronisława Bodnarczuk, z Żywaczowa, która rozpacziała za najmłodszą córeczką, 12-letnią Marysią, pozostawioną w Żywaczowie u krewnych, Drohomireckich. Zdecydowano więc wysłać mnie, abym kuzynkę przyprowadził do Tłumacza. W tym czasie Tłumacz zajęty był przez wojska radzieckie, a Niemcy prowadzili kontrofensywę

Miałem wówczas 15 lat, doskonale mówiłem po ukraińsku (co było ważne z uwagi na działające bandy UPA), a wyprawę traktowałem jako... przygodę. Podróż, którą odbywałem głównie pieszo, tylko czasem ktoś mnie podwiózł, przebiegała raczej spokojnie.

Był Wielki Czwartek, gdy przed wieczorem dotarłem do Żywaczowa. Okazało się, że Marysia znajduje się na drugim końcu wsi, u innych krewnych. Przyjęto mnie dość serdecznie i z wielkim zdziwieniem, bo w ciągu dnia na froncie zaszły zmiany i Rosjanie podobno się cofają. Potwierdził to ruch pojazdów różnego typu w kierunku na Horodenkę trwający przez całą noc. Postanowiłem wczesnym rankiem pójść po kuzynkę na drugi koniec wsi. Rankiem, ledwo domownicy coś przelknęli, gdy na dworze rozpałało się piekło. Nadleciały niemieckie bombowce i myśliwce urządzając makabryczny cyrk. Zrzucano bomby zapalające, burzące, strzelano do wszystkiego co się ruszało. Uciekliśmy do schronu wybudowanego za domem. Z małymi przerwami bombardowanie trwało do późnego popołudnia. Gdy w pobliżu schronu upadła bomba, a dach schronu, zbudowany z grubych bali, o mało się nie zawalił, a było w nim około 10 osób, przyrzekłem sobie, że więcej do schronu nie pójdę. Na noc wróciliśmy do domu, który oprócz potrzaskanych szyb był cały. Przed świtem dnia następnego wujek dał mi 2 kg cukru i chleba mówiąc: „Wracaj Nusiek do domu sam, na drugi koniec wioski nie ma co iść, bo kto wie, gdzie oni teraz są”, a widzisz co się teraz tu dzieje.”



Postanowiłem zaraz po śniadaniu wyruszyć w drogę powrotną. Jednak nie dano nam spożyć posiłku. Bombardowanie znów się zaczęło. Krewni pośpieszyli do schronu, a ja chwyciłem torbę z cukrem i chlebem i pobiegłem w pole wychodząc z założenia, że jeśli tam nie ma wojska to nie będą bombardować. Ledwie odbiegłem na odległość ok. 400 metrów, jak zauważył mnie myśliwiec i puścił w moim kierunku serię z automatycznego karabinu. Obok tylko popryskano ziemię niecelnymi pociskami. Pobiegłem dalej, lecz pilot nie zrezygnował. Zatoczył krąg i znów posłał serię w moim kierunku. Tym razem zrozumiałem, że uciekanie może się skończyć śmiercią. Gdy trzeci raz nadlatywał, upadłem pod miedzą i znieruchomiałem, wtedy dał mi spokój i poleciał szukać innych celów. Niedaleko trafiłem na niewielką dolinkę, z której wybierano glinę, taka glinianka. Tam usiadłem sobie przy samym szczytce w jednym zagłębieniu, skąd miałem doskonały punkt obserwacyjny, szczególnie na ten koniec Żywaczowa od strony Niezwisk oraz na drogę wiodącą w tym kierunku. I tak spędziłem Wielką Sobotę. Do tej glinianki schroniło się więcej osób, ale nawet rozmawiać się nie chciało. Wieczorem wróciłem do krewnych na noc. W nocy żołnierze rosyjscy pobudzili nas i kazali uciekać, bo front się zbliżał, a my tu zostając wszyscy możemy zginąć. Noc była ciemna, gdy wyruszyliśmy w kierunku na Żabokruki i dalej na Chocimierz. Gospodarze ciągnęli za sobą krowy, świnię, owce, a mimo to cicho się wszystko zachowywało, jakby zwierzęta też rozumiały groźbę położenia. Z kierunku Jezierzan dolatywał huk armat, strzałów karabinowych, a niebo rozjaśniała krwawa luna. Płonął dobytek ludzki. Niedaleko Chocimierza, z boku stała samotna chata, tam zatrzymaliśmy się. Był to pierwszy dzień Wielkanocy.

Niebo cały czas przecinały tzw. „ramy”, samoloty zwiadowcze oraz myśliwce. Po południu wujek zdecydował, że pójdziemy dalej do Czemiatyń, w kierunku Horodenki, gdzie miał zamiar zatrzymać się u swojej rodziny. Ruszyliśmy nie zwlekając. Przed wieczorem byliśmy już w Czemiatyń. Tam dopiero poczułem się osamotniony, postanowiłem więc, że wrócę do Woronowa, gdzie mieszkała moja ciocia Ludwika Bogucka, która będąc panią mieszkała u nas wpięć w Hostowie, a później w Tłumaczu i mnie jak i moje rodzeństwo pomagała wychowywać, bo mamcia często musiała z chorym bratem jeździć do lekarza do Tłumacza, a później do Stanisławowa. Na drugi dzień, nic nie mówiąc nikomu, skierowałem się przez pola na przełaj do Woronowa. Tam dopiero odczułem rodzinną atmosferę, a przywitania było bardzo ciepłe. To był drugi dzień Wielkanocy. Polewany Poniedziałek. □

Współczesny Tłumacz w obiektywie Andrzeja Gabańskiego



Cerkiew greko-kat. przy ul. Kolinieckiej



"Sokół" – obecnie Dom Narodowy



Dom Makucha



*Byle Seminarium Nauczycielskie
– dziś Szkoła Buchalterii Rolniczej*

W sierpniu 1995 r. Andrzej Gabański z Anglii był przez parę godzin w Tłumaczu. Zrobił dużo zdjęć obecnego miasta. Niektóre z nich będziemy przedstawiać w naszych *Zeszytach Tłumackich*.

„Odwiedziłam” Tłumacz w 1968 roku

Danuta Tabińska-Juhasz

W sierpniu 1968 roku przebywałam nad Morzem Czarnym w miejscowości Eforia w Rumunii. Wyprawa była czysto turystyczna z namiotem na dachu samochodu. Przyjechalśmy bowiem moim pierwszym autem marki „Trabant 500”. Podróżowałam z moimi dziećmi, z dziesięcioletnią Mariolą i piętnastoletnim Robertem.

Rozkoszowaliśmy się urokami morza i południowym słońcem. Dzieci z zaciekawieniem patrzyły jak zajadałam się kuleszą-mamałygą, wszędzie tu serwowaną w barach szybkiej obsługi. Pod koniec pobytu, raz na stacji benzynowej, dzieci rumuńskie obrzuciły nas pomidorami, krzyząc „Polonez agresor!” Dopiero wieczorem znajomą Rumunka pochodząca z Czerniowiec, wyjaśniła nam po ukraińsku, że Polacy razem z Ruskimi napadli na Czechosłowację i jest wojna. Zrozumieliśmy, że powrotną drogę do kraju mamy odciętą. Z grupą rodaków pojechalśmy do konsulatu polskiego w Bukareszcie. Tam kazali nam wracać przez Związek Radziecki tj. Czerniowce,

Zaleszczyki, Tarnopol, Lwów, Przemyśl. Radość moja była nieopisana. Postanowiłam odwiedzić od 23 lat nie widziane miasto Tłumacz. Nie było to jednak rzeczą łatwą. Nieprzerwany strumień aut polskich z całych Bałkanów wracał do kraju przez granicę z ZSRR – Czerniowce. Rusczy byli dobrze na tę sytuację przygotowani. Pełno wojska i milicji pilnowało żeby nigdzie nie zatrzymywać się i nie zbaczać z wyznaczonej trasy, według mapki jaką każdy otrzymał przy przekroczeniu granicy. Miałam jednak swoją dokładną mapę tych terenów, z której wynikało, że za Czerniowcami każdą drogą na lewo dojadę przez Horodenkę do Tłumacza. Niestety przy każdym skrzyżowaniu stały patrole wojskowe w „gazikach” lub na motocyklach zawracające śmiałków na wyznaczonej trasę.

Po kilku nieudanych próbach odważyłam się pojechać połączoną drogą przez nikogo nie pilnowaną. Jechaliśmy przez pola. Robert biegł miejscami naprzód żeby wskazywać kierunek.

Ludzie pracujący gromadnie na kołchozowych polach,

przerywali pracę i ciekawie patrzyli. Było bardzo sucho, gdyż od miesiąca nie padały deszcze. Właśnie to nas uratowało i po bezdrożach dotarliśmy do Horodenki. Z dużą szybkością „przeleciałam” przez miasto, żeby nikt nie zdążył nas zatrzymać. W owych czasach byliśmy tam prawdziwą sensacją. Jasnoniebieskie, małe auto z pomarańczowym ładunkiem na dachu (namiot). Od strony Horodenki wjechałam do wsi Żywaczów, gdzie kiedyś mieszkali moi dziadkowie Tabińscy.

Szybko znalazłam się na skrzyżowaniu pośrodku wsi, uświadamiając sobie równocześnie, że po prawej stronie nie mijalam ich domu, czyli że już go nie ma (był na początku wsi). Zatrzymałam samochód koło dwóch starszych kobiet w „zapaskach”. Nim zdążyłam zapytać ich o dom, to one już pytały mnie, czy jestem córką Tabińskich? (silne rodzinne podobieństwo). Gdy odpowiedziałam, że jestem wnuczką, z wielką życzliwością zabrały nas do swojego domu. Wjechałam samochodem na podwórze. Parkan z desek był tak szczelnie zrobiony, że od drogi nie było nas widać. Wyszedł stary gospodarz serdecznie nas witając i zapraszając na kwaśne mleko. Okazało się, że byli to sąsiedzi dziadków z naprzeciwna często u nich pracujący. Wspominali dziadków dobrze. Gospodarz powiedział tak: „Jak byli pany, to i my koło nich coś mieli, a teraz wszyscy są dziady”.

Narzekali bardzo na pracę w kołchozach, mogli wtedy mieć tylko ogród przy domu i trzymać „2 ogony” (bydło). Opowiedzieli nam, że dom dziadków po wojnie był olejarnią, a gdy ją zlikwidowano, to ludzie zaczęli rozbierać cegły na budowę pieców. Ze znajomych dziadków nikt w Żywaczowie nie pozostał. Dostałam tylko adres kowala p. Fukurzańskiego, który wraz z żoną przeniósł się do Stanisławowa. Na pożeganie gospodarze wyspali bezpośrednio na tylne siedzenie auta pełno gruszek i jabłek, tak że Mariolę mało co było widać. Ruszyłam z bijącym sercem do Tłumacza. Zatrzymałam samochód przed nie istniejącą już pocztą. Zanim zdążyliśmy wysiąść, oblegał nas już spory tłum ludzi.

Zainteresowanie było takie, jakby wylądował jakiś pojazd kosmiczny. Zapytałam o Wierę Łysaniuk, z którą przyjaźniłam się mieszkając w Tłumaczu. Natychmiast zgłosił się z tłumu jej mąż, a za chwilę już ją przyprowadził. Pracowała w banku obok. Przywitałyśmy się z wielką radością, a gdy jej wyjaśniałam, w jaki sposób znalazłam się z dziećmi w Tłumaczu wracając znad Morza Czarnego z wakacji, to Wiera, patrząc z podziwem, powiedziała, że pewno w Polsce jestem jakimś ministrem. Umówiłam się z Wierą, że u niej przenocujemy, a na razie pokażę dzieciom miasto. Patrzyliśmy na bardzo zniszczony kościół, bez ogrodzenia, w którym był jakiś magazyn. W parku stały jeszcze resztki budynku po gimnazjum. Zwiedzanie pozostawiłam na później, gdyż zaczęło nas dwóch panów z aparatem fotograficznym na ramieniu. Byli to Polacy, inżynierowie ze Śląska, którzy motocyklem zwiedzali Węgry, zaś czechosłowacka zawierucha przegnała ich do rodziny w Tłumaczu. Motor schowali w stodole u ciotki i zwiedzali miasto. Zaraz też zauważyli auto z wrocławską rejestracją. Zaprośili nas na obiad do nowo wybudowanej restauracji za domem Makucha. Słyszając polską mowę przy stole powitał nas uprzejmie starszy, siwy pan, restauracyjny „kaowiec” (kulturalno-oświatowy). Częstował nas polską muzyką, nagraniami Mazowsza i piosenkami Ko-

terbskiej. Tę przemiłą atmosferę przerwało wejście trzech „smutnych” panów, którzy głośno zapytali o „chadzią od etoj maszyny”. Jak się zgłosiłam, byli nieco zaskoczeni, jak również faktem, że podróżuję z dziećmi. Wylegitymowali mnie jednak, pytając, w jaki sposób dostałam się do Tłumacza. Nie pomogły moje prośby, że chciałam zwiedzić miasto i odwiedzić znajomych. Dali mi tylko „pół czasu” na opuszczenie Tłumacza, gdyż przybywam tu nielegalnie, w przeciwnym razie zarekwirują samochód, a nas zatrzymają na milicji. Bardzo zdenerwowana prosiłam dzieci, żeby szybciej kończyły obiad, a podano nam tak duże kotlety, że wystawały z każdej strony talerza. Po turystycznym, koherowym wyżywieniu, teraz nie mogliśmy niestety ich zjeść. Pożegnaliśmy miłych Ślązaków, którzy zawiedzeni życzyli nam szczęśliwej dalszej drogi do kraju.

Z wielkim zalem wsiedliśmy zaraz do samochodu i bardzo powoli ruszyliśmy w kierunku Pałahicz. Patrzyłam na ulicę Słowackiego, mało co zniszczoną, na domy, które dobrze znałam, gdyż aż w trzech miejscach na tej ulicy mieszkaliśmy w czasie wojny i przed wojną. Widziałam dom, z którego mój ojciec uciekł za pierwszych Sowietów do polskiego wojska formującego się we Francji. Potem minęliśmy staw, z którym łączyły się same miłe wspomnienia – chwile spędzone na wspólnych kąpielach z koleżankami. Był wieczór, gdy dojechaliśmy do Stanisławowa. Łatwo znalazłam ulicę Osipenki na Górze za dworcem. Gdy zatrzymałam samochód, by odnaleźć numer domu usłyszałam znajome odgłosy radia „Wolna Europa”. Był to mały kolejarski domek w dużym, gęstym ogrodzie. Nie myliłam się; tak odważnym mógł być tylko pan Fukurzański, kolega mego ojca i przyjaciel dziadków Tabińskich z Żywaczowa. On również rozpoznał mnie od razu, chociaż widział przed wieloma laty jako dziewczynkę. Jego piękna, młoda żona Olga przygotowała nam kąpiel, kolację i wygodne spanie na pierzynach. Była to duża przyjemność po miesięcznym namiotowym życiu. Samochód został dobrze ukryty w zieleni ogrodu. W Stanisławowie zostaliśmy przez 3 dni. Wędrówki do miasta były wspaniałe, ale dzieci miały nakazane, żeby się nie odzywały w polskim języku. Miałam ochotę na autobusową wyprawę do Tłumacza, ale dzieci chciały wracać do domu, bo za dwa dni rozpoczynał się rok szkolny. Od państwa Fukurzańskich dostaliśmy na drogę jedzenie, a dzieci kilogram pysznych czekoladek z orzechami. Po drodze musiałam interweniować, gdyż Mariolka dostawała kolorowe papierki, a Robert zjadał pomadki. Dzieci moje umiały być zgodne. Nocowaliśmy jeszcze na specjalnie przygotowanym kempingu we Lwowie. Następny nocleg w Krakowie u Lusi Bilińskiej, gdzie na żywo dzieliłam się tłumackimi wrażeniami. W drodze do domu mieliśmy jeszcze przygody, gdyż w kołach samochodu pękały dętki po rumuńskich upałach.

Dotarliśmy do Wrocławia w dniu rozpoczęcia roku szkolnego, witani przez zamartwiająca się rodzinę. Wspaniałe moje dzieci zdały znakomicie egzamin turystyczny. Przygody tej podróży były komentowane przez wiele lat w rodzinie tłumackiej.

Wyparły je dopiero przygody związane z następnymi wyjazdami do Tłumacza, ale musiało znowu upłynąć kilkanaście lat. □

Historia Tłumacza

Lata 1801-1861 (c.d.)

Michał Nikosiewicz

Po pierwszym rozbiore Polski Tłumacz został przyłączony do Austrii i stał się jednym z miasteczek Galicji i Lodomerii.

Urzędy miejskie i administracyjne objęli obywatele austriaccy: Niemcy, Czesi i Węgrzy.

Przez pewien okres Tłumacz należał do dystryktu IV Tyśmienicy, ale w mieście był urząd podatkowy, akcyza i urząd pocztowy.

1801 r.

Proboszczem parafii łacińskiej w Tłumaczu jest ks. Klemens Kasprowicz, wikarym ks. Michał Lachnowicz. Probostwo jest duże i zatrudnia ekonoma, Jana Masłowskiego. Przy naprawach kościoła i budynków gospodarczych zatrudnieni są cieśle: Michał Bodlak, Michał Biegowski i Onufry Horyń. Stróżem na probostwie jest Wasyl Bojczul, furmanem Iwan Ilejników.

Starostwo tłumackie z wójtostwem zostało drogą wymiany (za dobra dziedziczne w Kałuszu i Kosowie) oddane spadkobiercom Tadeusza hr. Dzieduszyckiego. Rodzina hr. Dzieduszyckiego zamieszkała w Tłumaczu. Wtedy zapewne został zbudowany dwór i założony park dworski.

W tym okresie miasteczko wychodzi spoza wałów i palisad, które z czasem zostały doszczętnie rozebrane.

1809 r.

Gdy wojska polskie Księstwa Warszawskiego zajęły w 1809 r. Lwów i podchodziły do Stanisławowa i Tłumacza, wówczas na Pokuciu zaczęła się powstańcza ruchawka. Polacy i Rusini dezercerowali z wojska austriackiego i przyłączali się do oddziałów polskich. Duży zastęp zbiegłych żołnierzy został przez Austriaków złapany. 27 sierpnia 1809 r. odbył się w Tłumaczu doraźny sąd wojskowy, który skazał na karę śmierci jednego oficera, dwóch podoficerów i pięćdziesięciu pięciu żołnierzy. Ostatecznie rozstrzelano tylko dwóch wojskowych: Mironiaka i Zębika. Pozostałych wcielono do wojska austriackiego.

1812 r.

Tłumacz i okoliczne wioski tworzą dominium. Coś w rodzaju klucza majątków. Z ramienia rządu mandatariuszem jest Zubrzycki.

1813 r.

W Tłumaczu powstała trzyletnia szkoła tzw. trywialna. Nauczycielem jest Piotr Perepsini, a w 1826 Adalbert Mianowski. Zakładane są również szkoły przy parafiach. Naukę prowadzą księża lub nauczyciele i ich pomocnicy.

1831 r.

Epidemia cholery w powiecie tłumackim.

1833 r.

Drogomistrzem w Tłumaczu jest August Rynkiewicz. 1839 r.

Henryk hr. Dzieduszycki zbudował w Tłumaczu cukrownię (istniała od 1839 do 1873 r.). Cukier wyrabiano z suszonych buraków. Z końcem 1843 r. było 11 suszarni – w Tłumaczu, Jezierzanach, Kordówce. Na potrzeby suszarni zużywano dużo drzewa (na 200 korców buraków 2 sągi drzewa), wobec czego zaczęto wycinać okoliczne lasy. Z uwagi na brak wody w pobliżu fabryki, musiano zbudować sztuczny zbiornik wodny powyżej cukrowni. Zbyt kosztowna produkcja pochłonęła wielką fortunę założyciela fabryki i jego rodziny, korzystnie natomiast wpłynęła na wzrost zatrudnienia ludności, a tym samym na wzrost dobrobytu całej okolicy.

1840 r.

Wikariuszami w Tłumaczu są ks. ks. Michał Moszaro i Michał Falkiewicz.

1843 r.

Administratorem Dziekanatu tłumackiego obrz. gr. kat. i inspektorem obwodu szkolnego jest ks. Bazyli Lewicki.

1846 r.

Wydano polecenie, że tych, którzy nie mają szkół filozoficznych i egzaminu z pedagogiki, nie wolno zatrudniać jako nauczycieli religii i na stanowiskach kantorów w rabinów.

1849-1853

Podupadły klucz tłumacki nabył Wartheimstein za 1.240.000 zł. Nowy właściciel cukrowni rozbudowuje ją i unowocześnia. Wybudowana zostaje fabryka sprzętu rolniczego, która wyrabia znane z dobrej jakości pługi, siewniki, młockarnie. Założono gorzelnię połączoną z młynem parowym. Rozbudowywane są gościńce, osuszone tereny zamieniane są na łąki. Utworzono kopalnie gipsu, wapna, rozpoczęto eksploatację torfu.

Rozszerzono eksport na wschód i na południe – do Mołdawii i na Bukowinę.

W 1852 r.

Wertheimstein zbankrutował. W rok później dobra tłumackie i cukrownię nabyła spółka (z kapitałem 4 mln zł): „C.k. Towarzystwo Akcyjne dla fabrykacji cukru w Galicji”.

1858 r.

Wikarym jest ks. Marcin Śliwiński.

1860 r.

Zmarł dyrektor cukrowni – Bredt.

1861

Proboszczem gr. kat. w Tłumaczu jest ks. Jan Kadajski. Wiernych obrządku gr. kat. – 1764. □

Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym

Kronika-Calendarium miasta Tłumacza i powiatu tłumackiego (c.d.)

Michał Nikosiewicz

Rok 1929

W powiecie tłumackim, w gminie Niżniów, uznano za „las ochronny” 484 ha., własność Stefana Urbańskiego. Jest to pierwszy rezerwat przyrody na terenie powiatu tłumackiego.

Spółceństwo Tyśmienicy jednogłośnie opowiedziało się za zniesieniem prohibicji (w 1923 r. było za jej wprowadzeniem).

Rozkład jazdy autobusem (Chevrolet-18 miejsc): Tłumacz-Stanisławów, godz. 6.30; Stanisławów-Tłumacz, godz. 18.20 (1 godzina jazdy).

Starostą w Tłumaczu mianowany został Rudolf Świątkowski.

W mieście panuje grypa.

Ubogiej ludności rozdano 1200 cetn. węgla z zapasów kolei (cena obniżona – 10 zł za cetn.)

Ks. Montalbetti wyjeżdża do Rzymu. Katechetą w szkole powszechnej jest ks. Opaliński.

19 III. Obchody ku czci marszałka Józefa Piłsudskiego (nabożeństwa, poranki w szkołach, akademie, posiedzenie Rady Miejskiej). Z tej okazji odbyły się również biegi sztafetowe: I m. hufiec PW gimn., II PW Sokół, III PW Niżniów, IV PW Klubowce.

31 III. Na posiedzeniu Rady Miejskiej powzięto uchwałę o wysłaniu pisma kondolencyjnego do Prezydenta Francji, z powodu śmierci marszałka Focha.

6 IV. „Święcone” strzeleckie we własnym lokalu, w budynku Sokoła. Akademickie Koło Tłumaczan urządzało zabawę i odegrało w sali Sokoła „Porwanie Sabinek”. Udział wzięli: Ola i Niusia Misterowicz, E. Misińska, E. Kulczycka, M. Dubicki, A. Gudzio, Z. Rachwał. Grała orkiestra gimnazjalna.

2-3 V. Uroczysta akademie 3-majowa w sali Sokoła. Seminarzystki wystawiły sztukę „Dla Ciebie Polsko”.

Ks. Opaliński urządził obchód Święta w czytelnicy im. A. Mickiewicza. W cerkwi nabożeństwo odprawił ks. Dzerowicz (Należy zaznaczyć, że gdyby nie garstka urzędników – cerkiew byłaby zupełnie pusta. Widoczne jest, że Rusini na każdym kroku starają się podkreślić, że nie uznają świąt ogólnopolskich).

23 V. Rada Miejska w uznaniu zasług b. starosty, Marianna Duduszyńskiego, nadała mu tytuł Honorowego Obywatela m. Tłumacza

28 V. O godz. 12 wybuchł olbrzymi pożar w Niżniowie. Spłonęło 30 domów mieszkalnych i 50 budynków gospodarczych.

Prof. Pożniak został mianowany inspektorem szkolnym w Buczaczu.

Prywatne Seminarium Nauczycielskie Żeńskie otrzymało na rok szkolny 1929/30 niepełne prawa publiczne. Seminarium zajęło cały budynek, rozbudowując pomieszczenia na gabinety, sale lekcyjne i in.

3-7 VII. Delegacja Tow. Gimn. „Sokół”-Gniazdo Tłumacz (20 osób) brała udział w Zlocie w Poznaniu. Następnie zwiedzono Gniezno, Kruszwicę, Gdynię i Hel.

14 VII. Klęska powodzi: wylew Dniestru w Niżniowie i Worony w Tyśmienicy. Zalane zostało kilkaset morgów uprawnych pól.

24-25 VII. Wojewoda stanisławowski dr Nakoniecznikow-Klukowski lustrował powiat tłumacki. Towarzyszyła mu banderia konna.

25 X. Odbyło się zebranie Tow. Naucz. Szkół Wyższych w Tłumaczu. Przew. dyr. Lachowski. Odczyty wygłosili: prof. Hauser „Metody nauczania języków obcych”; prof. Rzerzycha „O urzędowaniu wykładów popularnych”; prof. Papierman „O urzędowaniu wieczoru chopinowskiego w 80 rocznicę śmierci Chopina”.

W sali Sokoła w 99 rocznicę Powstania Listopadowego odbył się „Uroczysty Wieczór Listopadowy”. Uczennice seminarium i uczniowie gimnazjum odegrali „Warszawiankę” St. Wyspiańskiego.

Zespół teatru żydowskiego im. Goldfadena ze Stanisławowa wystawił sztukę Lejwika „Golem”. Sala Sokoła wypełniona była publicznością.

9-11 XI. Uroczyste obchody odzyskania Niepodległości.

13 XI. Młodzież święciła dzień swego patrona, św. Stanisława Kostki (i imieniny dyr. gimnazjum St. Mendrali). W sali Sokoła odbył się poranek, wieczorem zaś Stow. Młodzieży Polskiej odegrało dwie jednoaktówki: „Noc Błogosławiona” i „Żołnierz”. Później była zabawa taneczna do rana.

Władze rozwiązały w Budzynie (pow. tłumacki) Towarzystwo Gimnastyczne i straż ogniową „Łuh”.

Powstają Komitety pomocy ubogiej ludności. W skład Komitetów wchodzi księża, nauczyciele, wojskowi, ziemianstwo (dobrowolne opodatkowanie w naturze i w pieniądzu).

25 X. Odbył się „Wieczór Chopinowski”. Odczyt pt. „Życie i twórczość F. Chopina” wygłosił prof. Papierman. Utwory Chopina wykonali Misińska, Gabańska, Smoluchowski. Orkiestra odegrała Poloneza A-dur.

Komitet lokalny w Tłumaczu wznowił dożywianie w szkołach.

Miasto podzielono na rejony i rozpoczęto zbiórki.

6 XII. Harcerze urządzili wieczór św. Mikołaja – wręczano upominki.

„Św. Mikołaja” zorganizowało również Koło Rodzin Politycznych.

Wiele wiadomości o Tłumaczu zamieszcza w „Kronice z Tłumacza” gazeta „Ziemia Stanisławowska” – organ BBWR. □

Ulice Tłumacza i ich mieszkańcy (c.d.)

Ks. Lesław Jeżowski

Dochodzimy do drugiej bocznej uliczki kierującej się w stronę stacji kolejowej. Narożny, parterowy dom z frontem do Słowackiego zamieszkiwali pp. Issakiewiczowie. Pan pozostawał w cieniu swojej ogromnie znanej i popularnej żony, nauczycielki z zawodu. Była ona bardzo towarzyska, udzielała się społecznie, posiadała talent aktorski. Amatorskie przedstawienia teatralne miały zapewnione powodzenie, jeżeli występowała w nich p. Issakiewiczowa. Posiadali tylko jednego syna, podobnego do matki, który chodził do gimnazjum wyżej ode mnie.

W tym domu mieszkał również p. Zank, urzędnik pocztowy. Jedną nogę miała krótszą i dlatego ubierał na nią but o bardzo grubej zelówce, która jednak utrudniała mu chodzenie. Z tego powodu zawsze używał laski.

Pierwszy domek przy wymienionej wyżej uliczce należał do rodziny żydowskiej, której nazwiska nie mogę sobie przypomnieć. Jedną z żeńskich jej latorośli była długoletnią sympatią absolwenta gimnazjalnego, Stanisława Misieckiego, syna małżeństwa nauczycieli. Ta bliższa znajomość dwojga młodych zakończyła się zawarciem związku małżeńskiego. Rzecz niezwykła nie tylko jak na stosunki tłumackie.

Jedyny okazalszy dom zbudował tu sobie Steinwurz. Ozdobił go nawet werandą i wieżyczką. Handlował zbożem i byłem, w podwórzu widniały spichlerze i stajnie. Jedną z dwóch córek Steinwurza wyszła w latach trzydziestych za lekarza spoza Tłumacza, Hudischa. Ojciec urządził młodej parze huczne wesele, wzbudzające zainteresowanie wśród sąsiadów. Małżonkowie wnet po ślubie wyjechali z Tłumacza.

Sąsiadką Steinwurzów była p. Kłodnicka, wdowa po bracie naczelnika miejscowego sądu. Miała donośny, wyrazisty głos. Pewna trudność w swobodnym poruszaniu się nie odstręczała jej od regularnego uczęszczania na nabożeństwa kościelne i osobistego dokonywania zakupów. Zamieszkiwała dom o dwóch oknach wychodzących na ulicę. Nigdy nie odwiedziłem jego wnętrza, ale ci, którzy je znali, z uznaniem wyrażali się o jego schludności, wyposażeniu, zasobności spiżarni.

I wreszcie ostatni, jeszcze mniejszy od p. Kłodnickiej, dom Lechowiczów. W tym to już bywałem często, bo mieszkał tu mój klasowy kolega, Marian. Z sionki wchodziło się na lewo do kuchni i położonego za nią pokoju, na prawo do pokoiku zajmowanego przeważnie przez Mariana i jego młodszego brata, Józefa. Ich ojciec był starszym woźnym w Starostwie. Chodził do pracy w swojego rodzaju uniformie koloru ciemnognatowego z metalowymi guzikami, który w niedziele zamieniał na ubranie cywilne.

Pani Lechowiczowa, zawsze porządnie i skromnie ubrana, dbała o rodzinę i dom. Marian bardzo lubił czytać, podobnie jak ja, miał niemały własny księgozbiór, więc wymienialiśmy sobie książki i dużo rozmawialiśmy na ich temat. Wypożyczaliśmy też je, gdzie się dało. Ponieważ Marian musiał iść z gimnazjum do swojego domu ulicą

Słowackiego, często szliśmy razem. Bywało, że odprowadzałem go kawałek drogi. Interesowały go nie tylko sprawy związane ze szkołą i książkami, ale wszelkie młodzieżowe, a także, w ostatnich klasach, zagadnienia polityczne i społeczne. Przekazywał mi swoje nastawienie narodowe i antysemickie. Józef Lechowicz, jako znacznie młodszy od swojego brata, nie brał udziału w naszych rozmowach, ale czasem, gdy odwiedzałem Mariana, dołączał się do nas. Był bardzo ładnym dzieckiem o jasnych, długich włosach.

Od Lechowiczów krótkim zboczem dochodziło się do nie ogrodzonych torów kolejowych i budynku dworcowego. Tędy szli do pociągu mieszkańcy ulic Słowackiego i pobliskich, unikając dalszej, okrężnej drogi przez ulicę Pierackiego. Wszystkie opisane cztery domy stały po prawej stronie uliczki. Po lewej stała duża, drewniana szopa, popularnie zwana przez młodzież „heitzem”, w której zamknięto na noc parową lokomotywę ciągnącą trzy razy dziennie dwa wagony lokalnego pociągu z Tłumacza do Połahicz. Za heitzem, w stronę ulicy Słowackiego ciągnął się dosyć wysoki nasyp kolejowy z bocznym, ślepym torem, na którym prawie nigdy nie widziało się odstawionych wagonów. Za to zimą nasyp oblegały dzieci i młodzież używając go do zjeżdżania na sankach. Dłuższe zbocze było łatwo dostępne, ale krótsze, za drewnianą zaporą zamykającą tor, stromo, uskokiem opadało w dół, i zjechać z niego sprawnie świadczyło już o umiejętności saneczkowania.

Koniec nasypu oddzielał od ulicy Słowackiego trawiasty teren, przez który wiodła ukośna wydeptana ścieżka skrącająca Lechowiczom i ich sąsiadom dojście do swoich domów.

Wróciliśmy zatem na ulicę Słowackiego i idziemy nią nadal w stronę śródmieścia. Od stacji kolejowej, za nasypem i wzdłuż niego, dochodząc do ulicy, ciągnął się mur, który teraz skręcał na prawo i ogradał nie używany już od lat stary cmentarz żydowski. Pozostało na nim niewiele nagrobków zarosłych wysoką trawą, a te które jeszcze ocalały w części położonej w pobliżu dworca ginęły w krzewach i drzewach. Ten opuszczony, nie nadzorowany cmentarz mógłby być wykorzystywany do rozmaitych spotkań ludzi z tzw. marginesu społecznego, pijaków, rozpuszczonych wyrostków, ale nawet tacy nie zakłócili nigdy spokoju dawno tu pogrzebanym.

W pobliżu żelaznej furtki wejściowej stał na cmentarzu mały, jednoizbowy budynek, ale nic się w nim nie odbywało. Natomiast na chodniku ulicy, przed furtką zatrzymywał się każdy żydowski pogrzeb zdążający na nowy cmentarz usytuowany przy początku drogi do Łokutek. Ciało zmarłego znajdowało się w długiej skrzyni położonej na drewnianych noszach i przykrytej czarnym całunem. Gdy nosze postawiono na płytach chodnika, do trumny podchodził chyba rabin, ale ubrany zupełnie po cywilnemu, w kapeluszu na głowie, kładł rękę na całunie i zawodzącym głosem śpiewał żałobną modlitwę. Po jej zakończeniu cze-

rej wynajęci tragarze brali nosze na swoje ramiona i kondukt ruszał dalej. Za krewnymi i znajomymi zmarłego szły tzw. płaczki, które całą drogę zawodziły boleśnie i płakały. Pełniły swoje funkcje za odpowiednim wynagrodzeniem przy każdym pogrzebie.

Do cmentarnego muru od jego strony południowej przytykała, oznaczona numerem „5” kamienica p. Pauliny Francowej, wdowy. Starsi tłumaczenie nazywali ten dom – Franca, młodszy, nie pamiętający już zmarłego, nie używali tego określenia. Pani Francowa liczyła ponad 60 lat, jej zawsze ułożone włosy były zupełnie siwe, chodziła dosyć powoli. Zajmowała jedno z dwóch mieszkań na parterze składających się z dwóch pokoi i kuchni. Przez kilka lat mieszkała u niej jej siostra z Przemyśla, niska, szczupła, niepodobna zupełnie do p. Francowej. Zdaje się, że współżycie sióstr układało się niezbyt pomyślnie, bo przemysłanka powróciła do swojego miasta. Jak niemal wszystkie znane mi osoby mieszkające w Tłumaczu, i p. Francowa była dobrą Polką i gorliwą katoliczką. Bodajże raz w roku urządzała u siebie przyjęcie, na które zawsze nas zapraszała. Wtedy, i zresztą nie tylko wtedy, widywałem w jej mieszkaniu duży portret Tadeusza Kościuszki, herb Polski, obrazy o treści historycznej, patriotyczne emblematy. Miała krewnych w Druji, leżącej na północy kraju, nad Dźwiną, tuż przy granicy z Łotwą. Wyjeżdżała tam raz w roku, korzystając z bezpłatnego biletu kolejowego jako wdowa po pracowniku PKP. Pobyt w Druji trwał zimową porą kilka tygodni. Z nadejściem wiosny zajmowała się ogrodem, pracami w domu. Nie lubiła tłumackich plotek i stroliła od nich, wykazując duże zainteresowanie polityką krajową i zagraniczną, życiem gospodarczym.

Nie potafię wyliczyć wszystkich lokatorów, którzy w latach 1930-1938 zajmowali drugie mieszkanie na parterze domu. Wśród nich jednym z pierwszych był Karol Ardel, nauczyciel matematyki w niższych klasach gimnazjalnych. Wcześniej mieszkał przy ulicy 3 Maja w domu Salata. Ale gdy przyjął wraz z żoną i małym synem Zyga chrzest św., nie chciał pozostawać w domu żydowskim, albo jego właściciel nie chciał go już mieć pod swoim dachem, więc zmienił locum. Ardel uczył mnie matematyki i robót ręcznych, a w roku szkolnym 1932/33 był opiekunem mojej trzeciej klasy. Niektórzy rodzice suponowali u niego gruclicę. Gdy opiekował się naszą klasą, urządził nam wycieczkę do Lwowa, z którego – zdaje się – pochodził. Odwiedzając różne tamtejsze urzędy dla uzyskania dla nas zniżek i bezpłatnych biletów wstępu do muzeów i sal wystawowych, spotykał swoich kolegów, z którymi bronił Lwowa przed Ukraińcami w 1918 r. Podkreślał ten fakt wobec nas. Karol Ardel, być może źle się czuł w Tłumaczu, jako neofita, gdzie go wszyscy znali, toteż opuścił miasto i przeniósł się do Przemyśla. Uczył tam w gimnazjum, do którego uczęszczali też chłopcy z diecezjalnego Małego Seminarium.

Po nim wprowadził się do p. Francowej jakiś starszawy mężczyzna, unikający wszystkich, który nawet słowa nie zamienił z innymi lokatorami. Wyróżniał się również tym, że zamiast służącej miał służącego, który mu gotował i załatwiał wszystkie sprawy w mieście.

Po jego krótkim pobycie przy ulicy Słowackiego, opróżnione mieszkanie zajęli pp. Wolańscy wraz ze swoją córeczką Lilką, którzy później przeprowadzili się do nowego domu Hameidesa, o czym już wspomniałem. Lokatorów z lat bezpośrednio przedwojennych nie mogę sobie przypomnieć poza Seidlerami, którzy od p. Francowej przeprowadzili się do budynku zajmowanego w większości przez Urząd Skarbowy. O Leonie Seidlerze będę jeszcze pisał, gdy dojdę wspomnieniami do lokalu przy ulicy 3 Maja zajmowanego przez Zarząd Miejski. Zawsze mnie dziwiło, że jego żona nigdy o nim nie mówiła „mój mąż”, czy też „Leon”, ale zawsze używała określenia „porucznik”. Zanim przeszedł do administracji państwowej, p. Seidler był porucznikiem WP, a później, jako prowadzący w Starostwie referat spraw wojskowych, ubierał od czasu do czasu swój mundur. Zrezygnował z niego całkowicie, a p. Seidlerowa z nazywania męża porucznikiem, gdy został tłumackim burmistrzem.

Nad wspomnianym mieszkaniem, na piętrze, najemcy też się zmieniali. Pamiętam Zajaków. On gdzieś urzędował, mieli jedyne kilkuletniego synka, Ziućka, niestety niedorozwiniętego. Mimo to, rodzice troskliwie zajmowali się nieszczęśliwym dzieckiem, traktując je jak normalne, o czym świadczyło i to, że zapraszali mojego brata, aby przyszedł bawić się z Ziućkiem, który był mniej więcej jego rówieśnikiem. Dosyć często przyjeżdżała do p. Zajaków jej siostra ze Stanisławowa. Następnymi lokatorami tego mieszkania, po Zajakach, którzy opuścili Tłumacz, byli pp. Rzerzychowic, którzy stąd przeszli do domku przy bocznej uliczce Słowackiego, opisaną już na tych kartach.

Z kolei zamieszkali na piętrze kamienicy p. Francowej pp. Molisakowie. Obydwoje byli emerytowanymi nauczycielami, a pan ponadto pełnił dawniej funkcje kierownika szkoły powszechnej. Obydwoje spokojni, zrównoważeni mieli ciągłe utrapienie ze swoim dorosłym synem, Romanem. Mimo że był chyba po trzydziestce nigdzie nie pracował pozostając na utrzymaniu rodziców. Nie wiem, czy skończył jakąś szkołę średnią. Ale opowiadano, że coś próbował studiować we Lwowie pod rodzinną presją, lecz mając wszystko inne w głowie, tylko nie naukę, roztrwoniwszy otrzymane z domu pieniądze, powracał do Tłumacza, opuszczając go zaraz, gdy tylko miał za co, jeżeli np. wygrywał w karty. Zajmował balkonowy pokój od ulicy, w którym gwizdał i śpiewał znane melodie taneczne, wypalał mnóstwo papierosów. Przystojny, elegancki, pielęgnujący sztyk wielkomięski miał powodzenie u pań, i prawdopodobnie niejedna, jeszcze niezamężna, poślubiłaby go, nie bacząc na nic, ale Romuś, jak go zdrobniale nazywano, wolał nie wiązać się na stałe z żadną kobietą. Co innego – przelotnie. Jeżeli uznał jakąś zabawę karnawałową za godną jego obecności, szedł na nią, ale wracał już nie o własnych siłach. Upijał się nie tylko poza domem, ale i w swoim pokoju. Zamężna siostra Romcia nie mieszkała w Tłumaczu i jedynie od czasu do czasu przyjeżdżała odwiedzać rodziców.

Ostatnimi przed wojną lokatorami na piętrze kamienicy p. Francowej byli pp. Kordzińscy, rodzina urzędnika kolejowego.

(c.d.n.)

Szkice do historii męskiej drużyny harcerskiej im. Ks. Józefa Poniatowskiego (c.d)

Michał Nikosiewicz

W roku szkolnym 1923/24 rozkazem Komendy Chorągwi Lwów, drużynowym został dh Rudolf Kurczab, a przybocznym dh Roman Daca. Tym samym rozkazem odwołany został dotychczasowy drużynowy dh Jan Wąsowicz, ze względu na ukończenie gimnazjum. Po rozpoczęciu studiów we Lwowie, dh Wąsowicz został współpracownikiem tamtejszej Komendy Chorągwi.

Drużyna tłumacka zgłosiła swój udział w I Harcerskim Zlocie Narodowym, który miał się odbyć w Warszawie, ale pomimo uzyskania potrzebnej akceptacji Kom. Chor. Lwowskiej, na Złot nie pojechała. Trudno dzisiaj ustalić, dlaczego tak się stało. Wiadomo tylko, że w tym czasie dh R. Kurczab ustąpił ze stanowiska w wyniku nieporozumień z dyrekcją gimnazjum (dyr. Mendrala).

Zamiast na trzydniowy zlot do Warszawy, harcerze pojechali na letni obóz do Worochty. Finansowego wsparcia udzieliło im „Koło Przyjaciół Harcerzy”, którego prezesem był dr Ignacy Pietrzycki. W czasie trwania obozu zorganizowano wycieczki na Chomiak, do Jarremcza-Wodospadu, Kamienia-Dobosza i in.

Po powrocie z obozu szkoleniowego funkcję przybocznego objął dh Michał Nikosiewicz.

Raport drużyny tłumackiej za rok szkolny 1924/25 (Arch. Akt Now., sygn. 1327 ZHP) informuje: – ... Drużynowym jest Roman Daca. W 1924 r. zdobyto 30 sprawności. Ośmiu harcerzy zdobyło stopień „wywiadowcy”, a dziesięciu „młodzika”. W styczniu urządzono „opłatek” i kulig. W ciągu roku odbyły się 1-2 dniowe wycieczki, a latem obóz wakacyjny. Obecnie drużyna posiada w „Sokole” trzy izby przystrojone własnymi pomysłami. W jednej mieści się „Koło Krajoznawcze” i komenda drużyny, w drugiej sala zbiórek, a w trzeciej warsztat. Kasa drużyny nie posiada funduszy.

Może właśnie z braku pieniędzy nie urządzono obozu harcerskiego podczas wakacji 1925 r.

W roku szkolnym 1925/26 drużyna liczyła około 30 harcerzy, co stanowiło zaledwie 30% uczniów Polaków. Minęły już czasy, gdy do harcerstwa należeli wszyscy polscy uczniowie. Najbardziej aktywni, po zdaniu matury, odeszli już z gimnazjum.

W omawianym roku szkolnym zajęto się wyszukiwaniem nazwisk harcerzy-żołnierzy, którzy zginęli w obronie Ojczyzny i wpisywaniem tych nazwisk do księgi pamiątkowej. Wysłano również do Głównej Kwatery Męskiej ZHP do Warszawy dane dotyczące okoliczności śmierci śp. Mariana Dolaisa, byłego drużynowego drużyny męskiej im. Ks. Józefa Poniatowskiego w Tłumaczu, który zginął w obronie Lwowa 17 listopada 1918 r.

Drużyna tłumacka wykazywała dużą aktywność w turystyce. Opis jednej z jej wędrowek po okolicy odnotowuje w swoich „Wspomnieniach”, dh Władysław Mańkowski: – ... Pogoda była piękna. Łaziliśmy po naddniestrzańskich jarach. Cudne były wysokie modrzewie. Sprawialiśmy miłe wrażenie, gdyż mieliśmy ładne mundurki, czapki-rogatywki z lilijką i starannie spakowane plecaki z cieleńczej skóry (austr.). Noclegów i wyżywienia szukaliśmy w okolicznych plebaniach i dworach. I nigdy nie zawiedliśmy się. Odczuwany czasem głód staraliśmy się zaspokoić zjadając dojrzałe czereśnie. W okolicach Tłumacza drogi były wysadzone starymi czereśniowymi drzewami i trzeba było uważać, gdyż przejrzałe owoce były często robaczywe. Raz udając się do majątku kolegi Bohosiewicza na spóźniony obiad, trafiliśmy do kaplicy-mauzoleum w Korniowie z otwartymi trumnami, w których zachowały się ludzkie szczątki ubrane w szlachectkie stroje. Od kaplicy do zabudowań dworskich prowadziła piękna, zarośnięta trawą aleja, wysadzana po bokach potężnymi

świerkami, gałęziami sięgającymi ziemi, a stojącymi na przemian z potężnymi brzoźami. Takiego zestawienia drzew nie spotkałem już nigdy. Dopiero na wieczór dobrnęliśmy do kolegi, gdzie przyjęto nas miło i oprócz różnych potraw dano nam do zjedzenia kopę jaj na twardo. Było się czym uraczyć po całodziennym poście ... – W dalszym ciągu swoich wspomnień Wł. Mańkowski pisze: – ... Między drużynami istniało współzawodnictwo, np. za każdy wykonany pomysł ozdabiający świetlicę harcerską otrzymywało się punkty. Pamiętam, że wykonałem orła polskiego z łusek szyszek świerkowych. Praca wypadła imponująco i orzeł zdobił ścianę świetlicy. Drugim „dziełem” wykonanym przeze mnie był herb miasta Tłumacza. Na tarczę herbową naniosłem elementy herbu, którymi były, o ile się nie mylę, dwie gałązki laurowe skrzyżowane na dole na kształt wieńca, w środku gwiazda, a nad nią korona. Sam się przyznaję, że ta praca nie była wykonana zbyt pięknie z powodu braku wprawy jej autora w wycinaniu tzw. „laubzega” ... – Na początku roku szkolnego 1926/27 drużyna liczyła 37 harcerzy, a pod koniec 44. Zorganizowano trzydniową wycieczkę do Lwowa. Drużyna wystawiła trzy sztuki sceniczne (na św. Mikołaja, „Jasełka” i „Na słonecznej drodze”). Dochód z przedstawień wyniósł 472 zł. W tym czasie rozwinęła się również wzajemna pomoc w nauce. Wł. Mańkowski pisze: – ... mieliśmy w naszym gronie naprawdę matematycznego „asa”. Był nim dh Stanisław Rizler... – W szkole powszechnej stworzono „próbna” drużynę „wilecząt”, którą prowadzili starsi harcerze. W lipcu 1927 r. drużyna wyjechała na obóz do Dłoka. Opiekunem obozu był prof. Dąbek, komendantem Michał Nikosiewicz. Obóz otrzymał kat. „B”. Po wakacjach funkcję drużynowego objął Adam Śniechowski, uczeń VIII kl. gimnazjum. Opiekunem był prof. Poźniak. Dużo czasu poświęcono sportom, a zwłaszcza piłce nożnej. Powstał „Harcerski Klub Sportowy”, który rozgrywał mecze z „HKS – Stanisławów” i „Hasmonę-Tłumacz”. Prawie wszyscy harcerze umieli jeździć na rowerach, choć w drużynie tylko kilku kolegów je posiadało. Wszyscy też umieli pływać. Kąpiel odbywała się na młynówce lub w stawie w wyznaczonym miejscu i pod kontrolą. Kilkunastu harcerzy założyło chór, który prowadziła p. Misiecka. Występował on w świetlicy, przy ognisku i „po koledzie”. W ogóle drużyna była rozśpiewana. Nie było imprezy harcerskiej bez śpiewu. Pomimo zebranych przez „Koło Przyjaciół Harcerzy” funduszy drużyna na obóz wakacyjny w 1928 r. nie pojechała.

Po wakacjach nastąpiła zmiana na stanowisku drużynowego. Został nim dh Karol Mytnik, student prawa. Po raz drugi od założenia drużyny w 1912 r. drużynowym nie był uczeń tłumackiego gimnazjum, względnie profesor. Przybocznym został Józef Pawłowski, a opiekunem dyr. St. Mendrala. Dwunastu harcerzy z Tłumacza uczestniczyło w II Narodowym Zlocie Harcerskim, który odbył się w Poznaniu. Pismo „Skaut” w nr 1-2 z 1930 r. odnotowuje: „Dnia 7 IX 1929 r. drużyna Ks. J. Poniatowskiego w Tłumaczu obchodziła uroczystość „Roku Harcerskiego” połączoną z przyrzeczeniem harcerskim. Po południu harcerze urządzili w parku miejskim festyn z uroczystym programem.” Gazeta „Ziemia Stanisławowska” donosi, że „1 XII 1929 staraniem młodzieży harcerskiej odbył się w Tłumaczu uroczysty „Wieczór Listopadowy” w 99 rocznicę Powstania Listopadowego”, a 6 XII „Młodzież harcerska zorganizowała w sali „Sokola” przedstawienie, po którym św. Mikołaj rozdawał upominki wszystkim grzecznym i niegrzecznym dzieciom.” 15 XII w Stanisławowie odbyła się odprawa Hufca Pokuckiego pod przewodnictwem dh hm J. Wąsowicza. Z Tłumacza udział wzięli w niej: K. Mytnik, J. Pawłowski, A. Śniechowski. □

Okruchy wspomnień o tłumackich harcerkach i zuchach

Antonina Czohara-Sawicka

„Wszystko co nasze Polsce oddamy”

Życie szybko umyka. W pamięci zacierają się dni codzienne – szare. Zachowują się te o silnym zabarwieniu uczuciowym – smutnym czy radosnym. Często ulegają zapomnieniu okresy życia o znaczeniu nie tylko osobistym, ale także te mające charakter ogólny, łączący przeszłość z teraźniejszością. Zapewne do takich właśnie należy działalność Związku Harcerstwa Polskiego, a w tym jego drużyn harcerskich i gromad zuchowych na Kresach Wschodnich Polski.

Moja wypowiedź dotyczy atmosfery pracy harcerskiej w Tłumaczu. Dzienniki zajęć i kroniki zniszczyły niestety bomby spadające na nasze miasto.



Złot 27 V – 29 V 1938 r.

Przygotowania do defilady

Spoleczeństwo Lwowa bardzo serdecznie witało zuchy z różnych miast pd.-wschodniej Polski



Drużyna harcerek z Tłumacza na moście nad Dniestrem w Niżniowie w 1933 r.

Harcerstwo w Tłumaczu rozwijało się dzięki życzliwemu zainteresowaniu tą organizacją instytucji oświatowych (szkoły ludowej, gimnazjum i seminarium nauczycielskiego), Kościoła i rodziców. Wspierane było przez administrację miasta oraz dorosłych, zrzeszonych w organizacji „Sokół” i „Strzelec”.

Drużyna harcerska żeńska zaznaczyła szczególnie swoją działalność po powołaniu przez proboszcza, księdza kanoni-

ka Edwarda Tabaczkowskiego Seminarium Nauczycielskiego Towarzystwa Nauczania Chrześcijańskiego Sióstr de Notre Dame (1924/25 r.).

Moje wspomnienia sięgają 1931 roku, w którym zostałam seminarzystką pierwszej klasy tej szkoły. Drużynową była o kilka lat starsza koleżanka Panek, która umiała pokierować swoimi podopiecznymi. Służbie Bogu i Ojczyźnie nadawała realną treść.

Szczególnie wiele czasu spędzałyśmy na wycieczkach przyrodniczych, nauce piosenek patriotycznych, religijnych, ludowych. Przygotowywałyśmy inscenizacje, zbiorowe deklamacje, tańce ludowe, śpiewy



Defilada zuchów w Tłumaczu w 1938 r.



„Gromada zuchów”, Tłumacz 1937 r.

*Siedzą na ziemi: Irena Zasławska, Irena Bilińska c. Józefa, Leokadia Hirchmiller, Helena Bilińska, Dżusia Olejnicka, Stanisława Dusza, Urszula Łohaza
II rząd: Stanisława Piotrowicz, Rusyniak, Mirosława Seidler, Czesława Mandyna, Krystyna Bojczuk, Krystyna Matejkówna, Alicja Żurawska, Iwonka-Joasia Wasylyszyn
III rząd: Krystyna Bojczuk, Zofia Burczycka, Maria Laner, Stanisława Soltyk, Emilia Kaczorowska, Maria Koczwarą, Janina Drobisz,
dh. Antonina Czohara (drużynowa zuchów).*

chóralne. Przydawały się do występów podczas narodowych uroczystości.

Przy okazjach świąt państwowych i religijnych maszerowałyśmy czwórkami do kościoła. Nasz pochód otwierała orkiestra dęta studentów gimnazjum. Za nią, w takt muzyki, kroczyła drużyna harcerska żeńska, a za nią drużyna harcerska męska. W kościele zajmowałyśmy nawę główną lub boczną z prawej strony. Drużyna męska stała za nami lub w nawie lewej. Do dziś pamiętam nasz wspólny śpiew, przybieranie pozycji baczność podczas czytania Ewangelii, jednoczesne klękanie i wstawanie z klęczek, a na zakończenie:

*„O Panie Boże Ojczy nasz
w opiece swej nas miej”...*

Nasza organizacja harcerska uczestniczyła we wszystkich przejawach życia miasta. Akademii okolicznościowe, festyny, zawody sportowe – nie mogły odbywać się bez harcerzy. Byliśmy tak zwanym „oczkiem w głowie” dorosłych. Wśród nich „Sokół” okazywał nam swoją życzliwość. Między innymi mieliśmy dostęp do ich sali gimnastycznej – dwa razy w tygodniu, po 2 godziny. Nad celowością ćwiczeń czuwał nauczyciel wychowania fizycznego pan Hrapkowicz.

Obozy harcerskie, to niezapomniana forma pracy harcerstwa. Odbywały się one latem, w okolicach letniskowych. Lasy obok miejscowości Dolina były często terenem obozów.

Obozy umożliwiały nie tylko wesołe spędzanie czasu, ale także zdobywanie licznych sprawności, usamodzielnianie się. Nie było ulg dla nikogo. Namioty trzeba było samym użytkownikom rozkładać i urządzić, a następnie utrzymywać w nich porządek. Urządzanie leśnej stołówki wymagało wiele wysiłku, bo należało wykopać w kształcie półkola rów, by siedząc na murawie zmieścić w nim nogi, co sprzyjało wygodzie spożywających z menażek posiłki. Kuchnię polową (do podgrzewania gotowych potraw) także trzeba było wybudować zdobywając potrzebny budulec. Gdy była gotowa, następowało uroczyste „otwarcie” z przecięciem wstęgi. (Taką kuchnię budowałam kiedyś z Ziutką Bilińską-Agopsowicz).

Codziennie przygotowywane ognisko wymagało także wysiłku i umiejętności ustawiania go i zapalania. W nocy obozowiczki pełniły wartę kolejno, według listy.

Organizacja i wartość kaloryczna posiłków była nad podziw sprawna. Główny magazyn żywnościowy i kuchnia mieściły się w miejscowej szkole. Gotowały kucharki, które od czasu do czasu „chorowały”. Trzeba było je zastąpić. Zgłaszałyśmy się do tej funkcji (po kilka). Nasze posiłki okazywały się zjadliwe, chociaż niełatwo było nakarmić blisko 40 osób. Rekompensatą za nasz trud było przyznawanie sprawności kuchmistrza i kucharzy. Choroba kucharek, to był pretekst, by uczyć nas zaradności.

A nocne warty? Pełnione w pojedynkę, uczyły pokonywania strachu i odpowiedzialności.

Bo pomyśleć: siedzę na pieńku z karabinem w garści. Ciemno, ognisko dogasa, las szumi. Powtarzam w myśli ulubioną pieśń:

*„Idzie noc, słońce już
zeszło z pól, zeszło z gór, zeszło z mórz,
W cichym śnie zaśnij już.
Bóg jest tuż...”*

Czuję odpowiedzialność za spokój obozu. Czuję, że Bóg jest tuż – naprawdę.

Ale... ktoś zamąca mój spokój. Słyszę wyraźnie za moimi plecami szelest, ktoś się zbliża! Powinam strzelić w powietrze. Taki jest rozkaz, gdy intruz zagraża. Ale spokojnie... Powoli, ze strachem i ściśniętym sercem odwracam głowę. I

co zobaczyłam? Kitę lisa! Porwał moją nocną porcję jedzenia. Jak dobrze, że opanowałam się i nie strzelałam. W namiotach wszyscy smacznie śpią. Wkrótce będzie zmiana warty. Uszłam tym razem z honorem. Na drugi dzień było o czym opowiadać.

Alarmy nocne to sposób na maruderów, bojących się ciemności, ale zarazem poszukujących prawdziwej przygody. Bo oto: człowiek śpi, a tu gwizdy i ... „trzy minuty na ubranie a trzy jeszcze zbywa”. Biada tym, które nie poskładały w określonej kolejności, części swojej garderoby.

Stoimy w dwuszeregu, ciemno, chłodno, tylko las jak zawsze przyjaźnie szumi. Dowiadujemy się, że w lesie jest szpieg i trudno go schwytać. Dzielimy się na kilkusobowe grupy, wchodzimy do lasu i tylko ręczne latarki przyświecają nam. Po żmudnych poszukiwaniach – Jest! Sama komendantka obozu przebrana „za szpiega”. Śmiechu co niemiara. Już nie pamiętamy o przeżytych strachu w głuszy leśnej. Do obozu wracamy z pieśnią na ustach. Zdobyliśmy pierwszy stopień harcerza – zwiadowcy.

Dotąd osiągnęliśmy sprawność czystochocha, znawcy ziół, kucharza. Zachęczone przez komendantkę zgłaszamy chęć zdobycia sprawności górskiej. Było nas osiem odważnych. Trzeba było przejść górami około 20 km, do drugiego obozu harcerskiego, posługując się kompasem i mapą.

Zostałam przewodniczką wyprawy, z wyboru.

Idziemy! Ranek jest pogodny, słoneczny. Kompas i mapa dobrze nam służą, ale do czasu, bo oto na mapie wyznaczona jedna ścieżka leśna, a w rzeczywistości jest ich kilka. Jedna od drugiej w pewnej odległości. Wybieramy jedną z nich wspólnie. Idziemy dalej. Dowcipnisiu zauważa, że na krzewach jest sierść wilków, więc radzi przeprowadzić rachunek sumienia. Nie poddajemy się, ale miny nam rzedną. Wtem zza drzew wylania się polana, a na niej owce, a za chwilę i bacia. Wyraźnie uradowany z nieoczekiwanego spotkania. Częstujemy go chlebem i czekoladą, gdy wskazuje nam kierunek dalszej drogi. Odległość ocenia na 2 km „z hakiem”. Hak okazał się o wiele dłuższy niż te kilometry, ale wreszcie dobrnęliśmy.

Po całodziennym wędrowaniu miałyśmy siłę na wspólne ognisko, śpiewy i opowieści (miałyśmy wówczas po około 17 lat). Powrót następnego dnia, po obiedzie, kolejką górską do doliny. Tu zatrzymuje nas górską nawałnica: wiatr, deszcz, pioruny. Co robić? Na szczęście z pomocą przyszło wojsko umożliwiając nam powrót do obozu wozem konnym. Woźnica chyba bał się piorunów tak jak my, ale dojechaliśmy. W obozie przywitała nas dziwna cisza... Zgromadzone w namiocie komendantki wszystkie harcerki-obozowiczki modliły się o nasz szczęśliwy powrót. Dzięki pokonaniu trudności odznaki górskie zdobyłyśmy!

Sport zajmował jedno z głównych miejsc naszych działań. Każda harcerka zdobywała państwową odznakę sportową (POS). Jazda na łyżwach, to sport przez większość uprawiany. Lodowisko – oświetlane wieczorem – zorganizował zarząd miasta w naszym pięknym parku. Spotykały się tu często całe rodziny uprawiające ten sport, np. rodzina Gabańskich. Lodowisko było miejscem spotkań towarzyskich i pożytecznego spędzania czasu.

Gromada zuchów „Polne Kwiaty”

W 1936 roku, po pięcioletniej nauce zdałam maturę i uzyskałam uprawnienia wykonywania zawodu nauczycielskiego. O pracy jednak trudno było marzyć, dlatego ucieszyłam się, gdy zaproponowano mi prowadzenie gromady zu-

chów. Byłam przekonana, że po „szkole harcerskiej” w drużynie podolałam obowiązkowi.

Gromada istniała przy szkole ludowej (powszechnej), a opiekowała się nią z upoważnienia dyrekcji nauczycielka Helena Issakiewiczowa. Podlegałyśmy władzom ZHP – komenda hufca mieściła się w Stanisławowie, a komenda chorągwi we Lwowie – ul. Kurkowa 12. „Komisyjnie” przyjęłyśmy nazwę „Polne Kwiaty”. Zbiórki odbywały się początkowo na terenie szkoły, ale wkrótce rozgościłyśmy się w izbie harcerskiej. Była to dość duża sala w baraku na rogu ul. Wierzbowej i Księdza Sawy.

Wiodącym kierunkiem treści pracy z zuchami było wyrabianie patriotyzmu, kształtowanie przywiązania do ojczyzny, przyrody, środowiska, kraju. Wędrowki przyrodnicze o każdej porze roku, śpiewy piosenek (patriotycznych, ludowych, harcerskich) towarzyszące im, często zdumiewały mieszkańców Tłumacza melodyjnością i zapałem wykonania. O jesennym pieczeniu w polu ziemniaków można opowiadać bez końca. Równolegle, w gromadzie poszerzałyśmy zainteresowania literackie. Często np. zapoznawałam moje zuchy z fragmentami utworów nie do nich adresowanych. Jednym z efektów tego kierunku pracy była inscenizacja poloneza z Pana Tadeusza.

Podkomorzym był syn v-ce starosty Zbyszek Jeżowski, a jego wspaniałą postawę i sposób wykonania roli – gdy po szlachecku zarzucał rękawy kontusza i podawał rękę Zosi – był imponujący. W tej inscenizacji występowały wszystkie zuchy. O stroje zatroszczyli się rodzice.

Poloneza Ogińskiego na skrzypcach grała moja śp. siostra, Julia Czohorzanka-Ćwiakalska, akompaniowała na fortepianie pani Misiecka, żona nauczyciela śpiewu i muzyki. Narrację wykonywałam sama, ukryta za kotarą sceny. Widowisko uświetniło obchody rocznicy odzyskania niepodległości. Było to 11 listopada 1937 roku. Zuchy zyskały sobie tym występem uznanie społeczne. Gromada zuchów dorosła-

ła coraz bardziej. Zdobywała uznanie tłumaczan, a także władz harcerskich.

W 1938 roku otrzymałyśmy zaproszenie na zlot zuchowy do Lwowa. Radość była ogromna, ale także przygotowania absorbujące. Jak dotąd rodzice nie zawiedli. Można śmiało, z perspektywy czasu, powiedzieć, że zainteresowanie zlotem objęło całe polskie społeczeństwo Tłumacza. Przy pomocy rodziców dojechaliśmy, przeżyliśmy wiele wzruszeń, zwiedziliśmy najważniejsze zabytkowe miejsca Lwowa. Wróciłyśmy zdrowe, radosne, pełne zapału do dalszej pracy. Zuchy stawały się istotami, w których widziałam przyszłych wzorowych harcerzy, nauczycieli, urzędników, a nade wszystko ludzi o dobrych sercach, kochających cudem odzyskaną ojczyznę.

1 września 1939 roku zastał mnie w Augustowie, na obozie instruktorskim. Wracalam do Tłumacza pociągiem przepelnionym uciekinierami z Pomorza.

W pierwszych dniach września wycofującym się do Rumunii wojskom nosiłyśmy herbatę i kawę, owoce i kanapki. Nocami szyłyśmy z żółtej flaneli maski przeciwgazowe. W tych wyczynach łączyły się harcerki, członkinie organizacji „Strzelec” i niezrzeszone. Gdy jednak przez Tłumacz przejeżdżał sznur rządowych samochodów, zdaliśmy sobie sprawę, że to koniec, a nasz cały świat zawalił się. Trudno opisać dziś to uczucie. Tkwić będzie w nas do śmierci. Przecież wolność trwała niewiele ponad 20 lat.

Dziś można ocenić, że była to wolność jednocząca naród świadomością odpowiedzialności za kraj, za wychowanie młodego pokolenia.

„Wszystko co nasze Polsce oddamy” miało w tym okresie niepowtarzalny wydźwięk.

Harcerstwo – drużyny i gromady zuchowe w Tłumaczu to niezapisana księga. Może moje wynurzenia uzupełnią obecne Członkinie Klubu Tłumaczan. □

Z okazji 10-lecia Seminarium Żeńskiego w Tłumaczu (1924-1934) wydano jednodniówkę zawierającą rys historyczny Zakładu, wspomnienia i wiersze uczennic. Wykaz grona nauczycielskiego i absolwentek. Obwolutę tej jednodniówki zamieszczamy poniżej.

O Seminarium Tłumackim

Helena Klimkiewicz-Główkowa

Prywatne Seminarium Nauczycielskie powstało w roku 1924. Była to szkoła prywatna, bez prawa publiczności. Utrzymywała się z opłat miesięcznych w kwocie 60 zł od jednej uczennicy. Oczywiście nie każda z nas mogła taką kwotę płacić. Były więc zniżki dla biedniejszych. Za córki funkcjonariuszy państwowych państwo płaciło połowę tej sumy, to jest 30 zł. Za internat też dziewczęta płaciły po 60 zł miesięcznie. Założycielem seminarium był ks. Edward Tabaczkowski. Na seminarium przeznaczono dwupiętrowy budynek przy ul. 3-Maja, który był bardzo zniszczony. W jednej części, nadającej się do zamieszkania, mieszkali lokatorzy. Parter był zajęty przez sklep (Kółko Rolnicze), magazyny i warsztat ślusarski. Po wyprowadzeniu się z I piętra lokatorów na tym piętrze zaczęła się nauka oraz były mieszkania dla przyjeżdżających dziewcząt – czyli internat. Na razie była I klasa, mieszkanie dyrektorki internatu, kuchnia i kancelaria. Ks. Edward Tabaczkowski był wspaniałym człowiekiem o dobrym, szlachetnym sercu. Moja Matka



opowiadała mi, jak to w czasie I wojny światowej ks. Tabaczkowski opiekował się żonami i dziećmi, które pozostały bez mężów i ojców, bo ci poszli walczyć na front. W Tłumaczu było gimnazjum koedukacyjne, ale po jego ukończeniu, jeśli dziewczyna nie poszła na studia lub nie dostała pracy (o którą było trudno) skazana była na rolę „panny na wydaniu”. Seminarium stanowiło więc nie tylko dla mnie wielką szansę życiową, ale dla wszystkich tych, które to seminarium ukończyły.

Pierwszym dyrektorem Seminarium był ks. Jan Podczerwiński, a dyrektorką internatu p. Władysława Ziiolecka. Jak liczna była nasza klasa, nie pamiętam. Uczęszczały tu dziewczęta nie tylko z Tłumacza, ale i z okolicznych wsi i miast, a nawet ze Stanisławowa, Tyśmienicy, Kołomyi, w następnych latach nawet z Łodzi, Buczacza, Kopyczyniec, ze Śląska itp. Pamiętam, że byłyśmy niesforną i hałaśliwą gromadą. Języka polskiego i francuskiego uczyła nas p. Ziiolecka. Matematyki, fizyki, chemii p. Ludwika Kozłowska, dyrektorka szkoły powszechnej. Pozostałych przedmiotów uczyli nas profesorowie z gimnazjum. P. Ziiolecka nie dawała sobie rady z nami. Jedynie ks. Podczerwiński był dla nas autorytetem, ale ten rzadko był u nas w szkole, więc karność bardzo na tym cierpiała. Dopiero w drugim roku nauczania zaczęła się prawdziwa nauka i prawdziwe wychowanie. Ks. Tabaczkowski sprowadził z Górnego Śląska siostry zakonne Notre Dame, które zajęły się przede wszystkim internatem i naszym wychowaniem. Miały nie lada zadanie. II kurs zaczęłyśmy z nowym dyrektorem. Ks. Podczerwiński został przeniesiony na inną placówkę (Rawa Ruska), a na jego miejsce przyszedł ks. Mikołaj Witkowski. Przełożoną była s. Maria Antonina Twerdochlib, która uczyła nas j. niemieckiego, a siostra Maria Joannita robót ręcznych. Języka polskiego uczył prof. Marian Mierzwiński, gimnastyki prof. Józef Hrapkiewicz, historii ks. Witkowski. Innych przedmiotów uczyli profesorowie gimnazjum: matematyki prof. Tadeusz Poźniak. Na drugim piętrze był internat, a na pierwszym piętrze szkoła. Przed szkołą był duży plac, który został ogrodzony siatką i zamieniony na ogród warzywno-kwiatowy. Podczas przerwy mogłyśmy spacerować po ogrodzie, bez hałasu, godnie, pod czujnym okiem sióstr. Skończyło się wystawanie w oknach, wychodzenie ze szkoły do sklepów lub na sąsiednie ulice. Musiałyśmy sobie sprawić mundurki: granatowe z marynarskim kołnierzem, na którym były naszyte czerwone tasemki i zakończone czerwonym jedwabnym węzłem. Na głowach zaczęłyśmy nosić obowiązkowe granatowe berety z odznaką – okrągłą tarczą ND (Notre Dame). Nosiliśmy przymusowo spódnice długie – poniżej kolan. Ks. Witkowski od czasu do czasu sprawdzał ich długość. Jeśli była nieodpowiednia, uczennica była po prostu wyrzucana ze szkoły na jeden ten dzień i zapisana do dziennika, że jest nieobecna. Zaczęły obowiązywać nowe przepisy. Nie wolno nam było chodzić do kina i teatru, chyba razem z całą klasą pod opieką sióstr i to na dozwolone programy. O zabawach nie było mowy. Na ulicy nie można się było pokazywać nawet z bratem, bo przecież brat „nie miał na czole wypisane, że jest bratem.” Nie buntowałam się przeciw tym nowym przepisom, nawet mi one odpowiadały i zastosowałam się do nich bezboleśnie. Nie pamiętam smutnych lub przykrych chwil z życia szkolnego. Pamiętam wszystkie pogodne i wesołe. Tu chciałabym je wspomnieć. Niezapomniane były lekcje języka polskiego z prof. Marianem Mierzwińskim, wspaniałym polonistą, wykładowcą, pedagogiem i wychowawcą. Zapamiętałam je do dziś, choć

od tego czasu dawno minęło pół wieku. Prof. Mierzwińskiego można było słuchać nie 45 minut, ale przez dwie godziny i nie czuło się ani znudzenia, ani zmęczenia. A jaki miał humor i dowcip. W jednym roku 1 kwietnia, na „prima aprilis” koleżanki (te odważniejsze) – „zdużyły” profesora jeszcze na korytarzu, nim wszedł do klasy. Gdy wszedł do klasy spostrzegłyśmy, że jest zły i obrażony. Kiedyś zapowiedział nam, że każdą uczennicę nie przygotowaną do lekcji zapisze do dziennika. i teraz właśnie z miejsca zaczął pytać. Stawiał pytania i nie było wiadomo, o co mu chodziło, bo każdej pytaney uczennicy mówił „dziękuję, niedostatecznie” i wpisywał do dziennika. Pytał najpierw „placzki”, które z byle czego, na zawołanie, płakały. Do dzwonka było jeszcze daleko, a prawie połowa klasy płakała. Gdy zadzwonił dzwonek i profesor wyszedł z klasy, wszystkie jak na komendę wpadłyśmy na katedrę, by zobaczyć przyczyny płaczu – ale w dzienniku nie było żadnych zapisków. Raptem otworzyły się drzwi, stanął w nich prof. Mierzwiński z uśmiechem na ustach i z satysfakcją powiedział: „prima aprilis”. W drugim roku nauczania przyjechał do seminarium z wizytacją kurator Piotrowski. Przyszedł do naszej klasy na lekcję języka polskiego. Prof. Mierzwiński miał wykład, a wizytator chodził pomiędzy ławkami. Przystanął koło ławki, w której siedziała Bronka Scheinwurzłówna, wziął z ławki jej zeszyt i zaczął go przeglądać i czytać. Uśmiechnął się z zadowoleniem i zapytał Bronkę: „Co panienka czyta?” Bronka zaczęła wyliczać: „Panna Mary”, „Zatralenie” i inne romansidła. Wizytator pokiwał głową, wziął jej zeszyt i położył na katedrze przed prof. Mierzwińskim. Gdy dzwonek zadzwonił i obaj wyszli – Bronka zrozpaczona powiedziała do nas: „Na pewno wyrzucą mnie ze szkoły.” Ale nic takiego się nie stało, nawet nie miała obniżonego stopnia z zachowania. Prof. Mierzwiński był dyskretny i nikt się o tym z grona nauczycielskiego nie dowiedział. Co było w zeszycie takiego strasznego, czego Bronka się bała? Otóż pod wpływem tych różnych romansów napisała sobie w zeszycie list do fikcyjnego chłopca. Było tam takie kompromitujące zdanie: „Puchar rozkoszy wypijemy do dna.” Bardzo podobało się jej to zdanie i żywcem przeniosła je do swego listu. Kto wie, czy wtedy dobrze je rozumiała? Prof. Mierzwiński nauczył mnie czytać poezje i zachwycać się poezją naszych Wieszców. Dzięki niemu poznałam piękno literatury i nauczyłam się odróżniać dobrą książkę od mało wartościowej. Poszerzył się mój horyzont myślowy, zaczęłam się samodzielnie rozwijać. Szkoła dała mi początek i szczebel do wiedzy, nauczyła pracować nad sobą i poznawać świat. A nasze siostry zakonne? Pragnęły byśmy były dobre, grzeczne, skromne, pobożne, uczyły się pięknie. Chciały przecież dla nas jak najlepiej. Nie umiałyśmy tego ocenić. Uważały, że mamy bardzo pstro w głowie. I miały rację. Siostra Przełożona każdą naszą dwójką przejmowała się i bolała z tego powodu bardzo. Cieszyła się naszymi dobrymi stopniami. W tym czasie panowała w naszej szkole moda pudrowania się. Ale czym? Zasypką dla niemowląt. Wyobrażam sobie, jak musiałyśmy pięknie wyglądać? – głównie brunetki o smagłych cerach. Pewnego razu na lekcji języka polskiego koleżanka Mila (Burczyńska?) za osłoną pulpitu upudrowała sobie twarz. Gdy ją prof. Mierzwiński zobaczył – stwierdził bardzo poważnie: „Panna Burczyńska wróciła z młyna”. Jeden z profesorów powiedział nam, że jesteśmy ładne, bo zdobi nas młodość i niepotrzebnie się pudrujemy. Nie trafiało to do nas. Chciałyśmy być jeszcze piękniejsze. Dziwię się, że nikt z przełożonych suro-

wo nie zabronił tego naszego upiększania się wątpliwej jakości. Jedyne siostry cmokały zgorzone naszą głupotą. Szkoła nie miała żadnych pomocy naukowych ani biblioteki, ani żadnego gabinetu. Byłyśmy biedną szkołą, zdaną na własne utrzymanie. Prof. T. Poźniak, który uczył fizyki i chemii, zabierał nas do gimnazjum i tam uczyłyśmy się w gabinecie, fizyki i chemii, poglądowo. W tych latach, 1925-1926, pojawiły się w Tłumaczu pierwsze radia. Gimnazjum otrzymało pierwszy aparat. Prof. Poźniak raz zabrał nas do gimnazjum, by pochwalić się zdobyczą wspaniałej techniki. Byłyśmy bardzo ciekawe tego cudu. Całe 45 minut zdenerwowany profesor kręcił galkami radia, ale nic z tego nie wyszło prócz zgrzytów i świstów. Byłyśmy rozczarowane a profesor zdenerwowany. Obiecał nam innym razem lepszy odbiór. Prof. Mierzwiński opodatkował nas na kwotę 50 gr (tak, tak 50 gr) miesięcznie na fundusz biblioteki w naszym seminarium. Była to drobna sumka, ale książki były tanie i każdego miesiąca za te pieniądze kupowało się kilka lektur. Profesor sam każdego miesiąca sprawdzał, czy każda z nas wpłaciła na bibliotekę 50 gr. Bronce Schteinwurzłówniej specjalnie przypominał, by oszczędzała na znaczkach. W jej pamiętniku narysował różowy liścik, pomny tego listu w zeszycie do fikcyjnego chłopca. Gdy byłam w klasie III dostałyśmy prawo publiczności, dzięki wizytatorowi Piotrowskiemu. Z końcem roku szkolnego przyjechał znów wizytator ze Lwowa, Koziara – ten z kolei odebrał nam prawo publiczności. Nie spodobała mu się nasza szkoła. Prawdopodobnie stwierdził, że przyszłe nauczycielki, wychowane przez księdza i siostry zakonne – nie będą dobrymi nauczycielkami. Bez praw publicznych nie było mowy, by można było zdawać maturę w prywatnej szkole. By zdobyć prawo publiczności ks. Witkowski zrezygnował ze stanowiska dyrektora, a ks. Tabaczkowski sprowadził ze Lwowa emerytowanego dyrektora gimnazjum, byłego swego ucznia. Celestyna Lachowskiego. I zaczęły się świeckie rządy w seminarium. Pierwszym krokiem do postępu było pozwolenie na udział seminarzystek w zabawie ze studentami gimnazjum.

Niewiele moich koleżanek wzięło udział w tej zabawie. Te, które tam poszły, były chłodno traktowane przez nasze zakonnice. Na tę zabawę poszły też probantki, to znaczy kandydatki na zakonnice i one to czuwały nad koleżankami. Probantki chodziły z nami do szkoły i mieszkały w internacie, bo przyjechały aż z Górnego Śląska, gdzie nasze siostry de ND miały swoją siedzibę. Dyrektor Celestyn Lachowski był to mężczyzna w sile wieku, bardzo przystojny, twarz miał pogodną, zycziwą. Chodził wyprostowany jak trzcina. Był dobry oraz wyrozumiały i sprawiedliwy, ale bardzo wymagający. Uczył nas metodyki nauczania. Na jego lekcjach trzeba było orientować się i mieć wiadomości z każdego przedmiotu. Z tego powodu uważałyśmy go za chodzącą encyklopedię. W listopadzie na uroczystej akademii ku czci rocznicy odzyskania niepodległości uczestniczyłyśmy całą szkołą. W czasie przemówienia padły słowa pod adresem Marszałka Piłsudskiego jako twórcy wolnej Polski. Byłyśmy brawo z całą salą. Na drugi dzień, w czasie swej lekcji nie omieszkał nam wyrazić swe niezadowolenie. Powiedział nam, że jesteśmy bezkrytyczne i idziemy za klaskającym tłumem. Tłumaczył nam, że przecież sam jeden człowiek nie mógł dokonać takiego dzieła, jak wrócenie Polsce wolności. Nie rozumiałyśmy wtedy naszego dyrektora, bo polityką żadna z nas się nie interesowała. Te sprawy były nam obce i nie miałyśmy żadnego zdania na ten temat, ale nie raz miałyśmy okazję poznać, że dyrektor Lachowski nie lubi marszałka Piłsudskiego. Był endekiem. W roku szkolnym 1928/29 V kurs zaczął naukę bez praw publicznych. Nie można nam było w naszym zakładzie zdawać matury. Każda uczennica mogła zdawać maturę w innym państwowym seminarium, jeśli miała z naszego seminarium na świadectwie stopnie pozytywne. Trzeba było zdawać ze wszystkich przedmiotów. Nie było odważnych, znalazła się zaledwie jedna bohaterka – pojechała do Stanisławowa, by tam uzyskać dyplom. Udało się, bo zdała maturę. Była to Janka Kobrynowicz. Do odważnych świat należy. Podziwiałymy ją i zazdrościły – na taki sukces miałyśmy czekać jeszcze rok... (c.d.n.)

Niezapomniana nauczycielka

Czesława Mandyna-Kramarz

Pani Helena Issakiewiczowa była najwspanialszym człowiekiem, jakiego spotkałam w swoim życiu.

Tłumacz – moje kochane i niezapomniane miasto dnia 1 września 1936 r. otworzyło przede mną wrota szkoły powszechnej. To było pierwsze spotkanie z moją nauczycielką i wychowawczynią, panią Heleną Issakiewicz. Czułam, że jestem lubiana przez moją nauczycielkę i odwzajemniałam swym dziecięcym sercem. Nie mogło być mowy, żebym odmówiła swojej Pani udziału w przedstawieniu, deklamowaniu wierszy itp. Słowo mojej Pani było święte.

Pani Issakiewiczowa nie szczędziła trudu, żeby nasza klasa była ładna. Na ścianach były wywieszone obrazki z literami abecadła np. C – cegła, A – anioł, I – irys. To było dzieło rąk mojej Pani. Byłyśmy zachwycone naszą wychowawczynią. Była ona świetną organizatorką życia kulturalnego i artystycznego szkoły, a zwłaszcza swojej klasy.

Urządzała wystawy robót ręcznych i pokazy prac uczniowskich. Przygotowywała występy artystyczne związane z różnymi rocznicami i wydarzeniami w życiu miasta.

W klasie I „A” religii uczył nas ks. Tadeusz Malski.



Wystawa prac ręcznych uczennic Szkoły Powszechnej w Tłumaczu w 1938 r.

Organizatorka – nauczycielka Helena Issakiewiczowa

Miał on dar rozpuszczania dzieciaków, które między innymi za to bardzo Go lubiły. Przyszedł jednak czas Jego przeniesienia do innej parafii. W tym dniu byłam nieobecna w szkole. Pani Issakiewiczowa przysłała po mnie Józję Mazur z poleceniem, że mam natychmiast stawić się w szkole,

ubrana w mundur. Okazało się, że muszę nauczyć się wierszyka ułożonego przez Panią Issakiewiczową i pożegnać nim naszego ulubionego katechetę.

Oto wierszyk:

*Księżu katecheto, nie myśl tylko sobie,
że małe dzieciaki nie myślą o Tobie,
ale nas to tylko bardzo zasmucilo,
że Twoje serduszko nas już porzucilo,
że Ty już odchodzisz od nas hen daleko,
za dziesiątą górę za dziesiątą rzekę,
ale niech Ci Bozia daje szczęście, zdrowie,
a my przyrzekamy pamiętać o Tobie.*

do Ojczyzny. Jednym z przykładów jest następująca piosenka, której nas nauczyła:

*My wszystkie dzieci małe i duże
od pierwszej klasy wiemy,
że brat nasz żołnierz w szarym mundurze
ojczystej bronił ziemi.
Kochamy wszyscy naszych żołnierzy
mocno i bardzo szczerze
I wiemy kogo słuchać należy,
kiedy się jest już żołnierzem.*

4 czerwca 1939 r. przystąpiłyśmy do Pierwszej Komunii Świętej – przygotowane przez ks. Tadeusza Rojka. Pani Is-



*Pożegnanie katechety,
ks. Małskiego. Grono
nauczycielskie i uczennice
Szkoły Powszechnej
w Tłumaczu,
październik 1937 r.*

7 czerwca 1937 r. przybył z wizytą duszpasterską do Tłumacza Jego Ekscelencja Biskup Eugeniusz Baziak. Uroczystość przywitania odbyła się przed gimnazjum. Pamię-



*Powitanie Biskupa
Eugeniusza Baziaka.
Tłumacz 1938 r.*

tam, że wśród witających był nasz burmistrz, p. Seidler. Mnie przypadło w udziale powiedzieć wierszyk, ale niestety, nie pamiętam treści – pozostało tylko zdjęcie. Wiadomo, że do tej roli zostałam wyznaczona przez p. Issakiewiczową. Ta wspaniała nauczycielka, o wielkim sercu i pedagog z prawdziwego zdarzenia miała ogromny wpływ na naszą naukę i wychowanie w duchu patriotycznym. Wpajała w nas miłość

sakiewiczowa była duszą tej pięknej uroczystości. Czwórkami szłyśmy do kościoła pod wezwaniem Świętej Anny. Po przyjęciu Ciała Chrystusa w tak wspaniałej atmosferze, wróciłyśmy do szkoły na uroczyste śniadanie. Nasza Pani była z nami. To nie był bal z prezentami dla dzieci, ale prawdziwa uroczystość, której zapomnieć nie można. Tak piękne życie trwało do 17 września 1939 r., kiedy Tłuma-

czem zawładnęła ukraińsko-żydowska i sowiecka bestia. Nasi rodzice wywalczyli nam szkołę z polskim językiem wykładowym. Taką decyzję podjął rosyjski urzędnik – Didyk. W podziękowaniu za tę decyzję pani Issakiewiczowa postanowiła pokazać, co potrafią polskie dzieci i wystawiła na naszej scenie Puszki „Bajkę o rybaku i rybce”. Narratorką była Rena Macek, Dziadkiem – Dzidek Lechowicz, ja – Złotą rybką. Nie pamiętam, kto grał Babę.

Na przedstawienie został zaproszony Didyk, który był zachwycony naszą inscenizacją i gratulował pani Issakiewiczowej takich „artystów”.

Podczas okupacji sowieckiej bardzo często spotykałam się z panią Issakiewiczową u niej w domu. Przychodziłam na każde życzenie. To były niezapomniane chwile. Niestety w marcu 1941 r. wyjechaliśmy do Nadwórnej. Po wojnie w 1946 r., dzięki pani Marii Macek, spotkałam się z panią Issakiewiczową, która mieszkała w Grodkowie, no i oczywiście kontynuowała swój zawód.

Od końca lat sześćdziesiątych nasze spotkania nie były częste, ale dwa razy w roku musiałam u niej być, tj. w dniu imienin, 22 maja i 14. października, w Dniu Nauczyciela. Pani Issakiewiczowa życzyła sobie, żebym zwracała się do niej przez „Babciu” i tak się stało.

Korespondencja kwitła między nami, a ja swój przyjazd zawsze wcześniej zapowiadałam listownie. W autobusie siadałam po lewej stronie i nigdy nie zapomnę tych oczu, które wyglądały, czy na pewno jadę. Nasze spotkania były przeurocze i nie zapomnę ich nigdy. Te dłonie, które otaczały moją głowę, kiedy chciałam ucałować kochane ręce. Zawsze odczuwałyśmy, że czas zbyt szybko umyka, a my mamy sobie tyle do powiedzenia. Wiem, że wiele wycierpiała tracąc najbliższych, jedynego syna, męża, siostrę, ale i choroba też była męcząca – trudno Jej było się poruszać (to była chyba osteoporoza).

Nigdy nie usłyszałam słowa skargi. Miała moja kochana Babcia duże poczucie humoru. Kiedyś powiedziała tak: „Mówią, że na tamtym świecie jest lepiej, ale ja już wolę być na tym, bo wiem, jak tu jest.” Nasza sielanka trwała do 1979 r. (w maju byłam ostatni raz). We wrześniu 1979 r. zmarła moja Mamusia, a w końcu listopada 1979 odeszła na zawsze moja najlepsza „Babcia”, najszlachetniejszy człowiek, który pozostanie do końca mego życia w sercu i pamięci.

Pozostało mi tylko odwiedzanie grobu, a robię to zawsze, gdy przejeżdżam przez Grodków. □

Kompania Obrony Narodowej „Tłumacz”

Henryk Wilczewski

Decyzją Ministra Spraw Wojskowych z lutego 1937 r. powołano w kraju nową formację wojskową, tak zwane Oddziały Obrony Narodowej. Zadaniem tych oddziałów było wspomaganie, w przypadku wojny, regularnych oddziałów wojskowych oraz pełnienie w tym okresie służby wartowniczej, patrolowej itp.

Do armii regularnej wcielani byli wszyscy obywatele Rzeczypospolitej w określonym przedziale wiekowym, bez względu na wyznanie i narodowość. Stąd też np. w 11-tej Karpackiej Dywizji Piechoty udział tzw. mniejszości narodowych wynosił około 40%, co nie było bez znaczenia w przypadku ewentualnej wojny z Niemcami, którzy, jak można się było spodziewać, zechcą wykorzystać ukraińskie ruchy nacjonalistyczne do własnych celów.

Do oddziałów Obrony Narodowej przyjmowano wyłącznie obywateli narodowości polskiej, przekraczających górną granicę wieku poborowego.

Tłumacz był do pewnego stopnia uprzywilejowany pod tym względem. Jeżeli bowiem znacznie większy od Tłumacza, Kałusz, liczący przed wojną około 15 000 mieszkańców, nie potrafił wystawić własnej Kompanii Obrony Narodowej, to Tłumacz taką kompanię zorganizował.

Była to 2 Kompania ON „Tłumacz” wchodząca w skład Batalionu ON „Stanisławów”. Dowódcą Batalionu był mjr Władysław Weltz.

Trzon oddziałów Obrony Narodowej stanowili członkowie organizacji „Strzelca” z całego powiatu tłumackiego oraz ochotnicy z Tłumacza i okolicznych wsi polskich.

Najliczniejszą grupę, o ile pamiętam, stanowili szeregowcy i podoficerowie z Tarnowicy Polnej.

Liczebność Kompanii w okresie mobilizacji wynosiła 106 osób.

Umundurowanie żołnierzy i oficerów ON było identyczne jak w oddziałach regularnych, wyróżniając ich tylko do-

datkowym biało-czerwonym sznurem, łączącym dwa rogi rogatywki. Sznur zakończony był ozdobnym frędzlem, również o barwach narodowych. Na kołnierzach mundurów widniały biało-czerwone proporczyki.

W sierpniu 1939 r. w momencie wymarszu Kompanii ON „Tłumacz” na wyznaczone pozycje, w skład jej dowództwa wchodził:

d-ca Kompanii – kpt. Leon Wilczewski
z-ca d-cy Kompanii –

por. rez. – Eugeniusz Chrzanowski

szef kancelarii – sierż. Jan Ordyczyński

kwatermistrz – plut. Józef Śmigiel

oraz kilku podoficerów w stopniach plutonowych i kaprali, którzy dowodzili plutonami i drużynami.

W okresie poprzedzającym wybuch wojny przeprowadzono kilka koncentracji i ćwiczeń bojowych Kompanii ON „Tłumacz”.

Miejscem postoju Kompanii był wówczas obiekt Wydziału Drogowego przy ul. Słowackiego. Ćwiczenia odbywały się przeważnie na łąkach w okolicy boiska sportowego, między Jackówką i Gonczarówką.

Zważywszy, że w Tłumaczu nie stacjonował żaden, nawet najmniejszy oddział wojskowy, ćwiczenia takie stanowiły nie lada atrakcję, zwłaszcza dla młodzieży. Toteż niejednokrotnie, bezpośrednio po lekcjach udawaliśmy się na łąki



Kpt. Leon Wilczewski
d-ca Kompanii ON „Tłumacz” (zdjęcie z 1941 r.)

w okolice boiska sportowego, by nasycić oczy widokiem prawdziwych żołnierzy wykonujących różne zadania bojowe. Najważniejsze zaś było, że strzelali przy tym dość często, co robiło na patrzących duże wrażenie, mimo iż zdawali sobie sprawę, że są to tylko ślepe naboje.

Ćwiczenia takie odbywały się w lecie 1938 r. na podtłumackich łąkach. Patrzyliśmy jak urzeczeni, gdy nasza Kompania w pełnym rynsztunku bojowym forsowała jakąś małą rzeczkę o dosyć stromych, błotnistych brzegach. Żołnierze osłaniani ogniem dwóch r-kaemów, rozciągnięci w długą tyralierę, przeskakiwali w pełnym biegu przez wodę. Oczywiście nie każdy skok był uwieńczony sukcesem. Toteż po zakończeniu ćwiczeń wielu delikwentów wylewało wodę z butów, a potem długo suszyło spodnie i onuce. (Dla niewtajemniczonych muszę wyjaśnić, że przed wojną żołnierze nie używali skarpetek, tylko tzw. „onuce”, czyli kawałki białego płótna, którym owijali nogi przed włożeniem butów).

W okresie ćwiczeń, na terenie Wydziału Drogowego znajdowała się prawdziwa kuchnia polowa. Obiekt ten stanowił dla nas też pewną atrakcję. Bo to i na kolach i dymiące kotły, przy których uwijali się ubrani na biało kucharze w białych czapkach.

Któregoś dnia dowiedziałem się od Ryśka Macka, że jego wujek, gospodarujący na jednym z podtłumackich gospodarstw jest żołnierzem Kompanii ON i bierze udział w ćwiczeniach. Oczywiście, natychmiast po lekcjach udaliśmy się, jak to było u nas w zwyczaju, w trójkę z Dzikim Seidlerem do miejsca postoju Kompanii. Pora była przedobiada. Na obszernym podwórzu oczekiwała niecierpliwie spora gromada żołnierzy, wygłodniałych po forsownych w tym dniu ćwiczeniach. Był też wujek Ryśka Macka. Postawny, wysoki, ogorzały od słońca pan z sumiastym wąsem. Muszę przyznać, że zrobił na mnie bardzo miłe wrażenie. Nagle – zbiórka! Błyskawicznie ustawiająca się do kotła kolejka. Koniec gwaru i szumu, koniec rozmów. Słychać tylko brzęk łyżek i menażek. Musiało smakować, bo wszyscy dokładnie wybierali przy pomocy skórek z razowego chleba, resztki zawiesistego sosu.

Kilkanaście metrów od budynku Wydziału Drogowego płynął malutki strumyk. Natychmiast po skończeniu obiadu zaroili się brzegi strumyka i każdy starannie szorował piaskiem swoją menażkę.

W czasie trwania ćwiczeń mieszkańcy cichego i spokojnego zwykle Tłumacza, a zwłaszcza ulicy Słowackiego, mogli usłyszeć w godzinach rannych lub popołudniowych, miarowy krok maszerującej kompanii i śpiew dziarskich wojaków. Niezbyt bogaty był repertuar wokalny. Było tego może dwie, a może trzy piosenki wojskowe. Zachowałem w pamięci słowa refrenu jednej z nich, które brzmiały: „siedzi ona na małym stołeczku, białe orły wyszywa”

I tak to 27 sierpnia 1939 r. nasze tłumackie „białe orły” ruszyły na wyznaczone pozycje, bo Ojczyzna była w potrzebie. Początkowo był to odcinek granicy polsko-węgierskiej. Miejscem postoju kompanii była miejscowość Ławoczne k. Skolnego.

Następnie w pierwszych dniach września Kompania ON „Tłumacz” skierowana zostaje w okolice Stryja, gdzie organizowano kolejną linię obrony Armii „Karpety”, w skład której wchodziła Karpacka Brygada Obrony Narodowej z Batalionem ON „Stanisławów” i jego częścią składową Kompanią ON „Tłumacz”.

Kpt. Leon Wilczewski obejmuje w tym czasie dowództwo batalionu ON „Stanisławów”, a jego miejsce dowódcy Kom-

panii ON „Tłumacz” zajmuje por. rez. Eugeniusz Chrzanoski.

Całość wraz z innymi ugrupowaniami wchodzi w skład Grupy Operacyjnej „Stanisławów” pod dowództwem gen. bryg. Stefana Dembińskiego (w literaturze można spotkać się z określeniem GO „Stryj”, co nie jest określeniem ścisłym i odbiega od sformułowania użytego w rozkazie Min. Spraw Wojskowych z dnia 11 września 1939 r.)

Zadaniem Grupy Operacyjnej „Stanisławów” gen. Dembińskiego była obrona rejonu Drohobycz-Stryj i osłona połączeń z Rumunią na kierunku Stryj-Stanisławów.

(Szczegółowe dane na podstawie książki R. Daleckiego „Armia Karpaty w wojnie obronnej 1939 r.”)

Główną linię obrony stanowić miała rzeka Stryj. 10 września 1939 r. Kompania ON „Tłumacz” obsadza miejscowość Sławsko. 14 września 1939 r. z całym Batalionem ON „Stanisławów”, Kompania ON „Tłumacz” obsadza rejon: Niżniów Dolny – Lisowice.

W okresie od 14 do 17 września oddziały GO „Stanisławów” prowadzą działania zaczepne, planowane również na dni następne.

W dniu 17 września o godz. 12.30 gen. Dembiński otrzymuje rozkaz szefa sztabu Naczelnego Wodza, że grupa jego wojsk ma niezwłocznie maszerować w kierunku granicy węgierskiej. Ta gwałtowna zmiana sytuacji była wynikiem wkroczenia do Polski wojsk bolszewickich. 3 pułk Obrony Narodowej, w skład którego wchodził Batalion ON „Stanisławów”, a więc i Kompania ON „Tłumacz” otrzymał w dniu 18 września 1939 r. rozkaz udania się przez Bolechów do Hoszowa w kierunku Węgier.

Przekroczenie granicy miało nastąpić na Przełęczy Wyszowskiej. 20 września rano 3 pułk Obrony Narodowej, zwartymi oddziałami przekroczył granicę węgierską. Jako ostatni granicę Węgier przekroczył dowódca GO gen. bryg. Stefan Dembiński. W dniu tym oddziały bolszewickie wkroczyły do Tłumacza.

EPILOG

Różnie potoczyły się losy wojenne żołnierzy Kompanii ON „Tłumacz”. Część z nich powróciła po zakończeniu działań wojennych do rodzinnych zagrod i podzieliła potem tragiczne losy deportowanych do głodnych stepów Kazachstanu. Część wybrała internowanie na Węgrzech. D-ca Kompanii, zgodnie z rozkazem obowiązującym oficerów zawodowych przedostał się przez Jugosławię i Włochy do Francji, by tam uczestniczyć w działaniach wojennych przeciw Niemcom. Następnie przedostaje się do Wielkiej Brytanii i tam służy ojczyźnie w I Polskiej Samodzielnej Brygadzie Spadochronowej gen. Sossabowskiego.

Z-ca d-cy pozostaje w obozie internowanych oficerów polskich w miejscowości Visegrad koło Budapesztu. (W 1972 r. odwiedziłem gospodarzy domu, w którym mieszkali internowani polscy oficerowie w Visegradzie. Żył tylko gospodarz, pamiętający nawet ich nazwiska).

Spotkali się po wojnie w 1950 r. w Gliwicach. Tu nastąpiło też bardzo serdeczne spotkanie z sierżantem Ordyczyńskim, który po wojnie był dyrektorem szkoły w jednej z podkaliskich miejscowości. Nieżyjący już niestety mój brat Chwalimir spotkał kiedyś we Wrocławiu plut. Józefa Smigła i otrzymał od niego bilet wizytowy. Czytamy: Józef Milne Smigel – pułkownik w stanie spoczynku (wizytówka w moim posiadaniu). Tragicznie zginął, o ile mi wiadomo, wujek Ryśka Macka, prowadzący gospodarstwo rolne koło Wrocławia. Rażony piorunem w czasie orki, gdy na błękitnie nieba znajdował się tylko jeden obłoczek. □

Tłumacz w latach 1939-1945

Lata dzieciństwa w Tłumaczu

Z pamiętnika pewnej tłumaczanki

Irena Bilińska-Pieśniewska

*Dedykuję mojemu Ojcu
– Kazimierzowi Bilińskiemu –
byłemu dowódcy w Korpusie
gen. Andersa w walkach pod Monte
Cassino, żyjącemu i mieszkającemu
obecnie w USA
– na 90-tą Rocznicę Urodzin!*

Na świat przyszedłam w pierwszym tygodniu wiosny 1935 roku, oczywiście w Tłumaczu, chociaż moi Rodzice mieszkali wtedy w Radomiu.

A było to tak. Gdy Matka moja spodziewała się rychłego rozwiązania, w połowie marca 1935 roku, otrzymała z Tłumacza depezę następującej treści: „Przyjeżdżaj, babcia bardzo chora.”

Najbliższym pociągiem, odprowadzona przez męża (mojego Ojca), wyjechała brzemenna z Radomia do Tłumacza, gdzie kilka dni później, u Dziadków moich w Tłumaczu przy ul. Ormiańskiej, urodziłam się ja, pierwotne dziecko moich rodziców.

Ojciec mój, Kazimierz Biliński, tłumaczanin, po ukończeniu studiów na UJ w Krakowie otrzymał posadę nauczyciela gimnastyki najpierw w Zawierciu, później w radomskim gimnazjum.

Następnie, po zaślubieniu w kwietniu 1934 r. tłumaczanki, Anny Pawłowskiej (absolwentki gimnazjum w Tłumaczu), zamieszkał z żoną w Radomiu, gdzie otrzymał posadę.

W ciągu pierwszych czterech lat mojego dzieciństwa tj. do 1939 r. stanowiliśmy udaną, szczęśliwą rodzinę. Często ferie i wakacje szkolne spędzaliśmy w Tłumaczu, gdzie mieszkała cała bliższa i dalsza rodzina moich rodziców.

Przyjeżdżaliśmy do dziadków Elżbiety i Jana Pawłowskich, zamieszkałych wraz z córką Marią i zięciem Kazimierzem Dołhańczukami. Mieli oni córkę Lidzię i synka Tadeusza.

Gospodarstwo rolne moich dziadków stanowiło wiele hektarów pola i łąk. Pamiętam owocowy duży sad, kolorowy ogród pełen kwiatów, gdzie ojciec robił nam liczne zdjęcia. Bawiłam się swoimi lalkami, z których jedna nazywała się Basia. Często spoglądałam teraz na uśmiechniętą twarz mojej młodej pięknej Mamy – utrwalonej na fotografiach z tamtych lat.

Niebawem nastąpiło coś, co spowodowało, że ta rodzinna sielanka oraz moje dziecięce szczęście prysło jak bańka mydlana.

Po krótkiej chorobie umiera moja Matka, kolejna

córka dziadków Pawłowskich. 13 maja 1939 r. zostaje pochowana w rodzinnym grobowcu, na cmentarzu w Tłumaczu.

Wkrótce, bo za kilka miesięcy wybuch wojna i Ojciec mój odjeżdża na wojnę.

Z powodu wieku nie byłam jeszcze w pełni świadoma swego sieroctwa. Nikt wtedy nie przeczuwał, że wichry wojny rozdzielią mnie z Ojcem na zawsze.

Odtąd moim życiem kierować będą dziadkowie i moje ciocie. Ludzie o dobrych, czułych sercach, którzy nie pozwolą mi odczuć nieobecności rodziców.

Moją pierwszą opiekunką, po śmierci mojej Mamusi, była babcia Aniela Bilińska, zamieszkała przy ul. Sobieskiego w Tłumaczu, wraz ze swoją córką (a moją matką chrzestną) Lolą Rizler, jej mężem Stanisławem oraz dwiema 5-letnimi bliźniaczkami, Marysią i Zosią.

Moje zamieszkiwanie z nimi, to kwestia tylko kilku miesięcy. Jak wiadomo, po wybuchu wojny w Tłumaczu zaczynają się prześladowania Polaków. Aresztowania, a później wywózki na Sybir.

W rodzinie naszej zaczęło się od aresztowania lubianego przeze mnie wujka Stasia Rizlera, urzędnika Starostwa, po którym słuch do dzisiaj zaginął. Podobno zgładzony w Katyniu.

Niedługo, bo zimą 1940 roku, rodzina Rizlerów, z babcią Bilińską i ze mną – zostaje wpisana na listę deportacyjną. I tak w transporcie bydłowych wagonów, skierowanych na Sybir znalazłam się ja wraz z moją zastępczą rodziną.

Nie podzieliłam jednak losu zesłańców, bo niezbadane są wyroki Boskie. Na skutek usilnych, szybkich starań i działań interwencyjnych, u władz sowieckich, mojej cioci Marii Dołhańczukowej, a może też i jej męża (znanego weterynarza) konwojenci z transportu otwierają zaplombowany już wagon i zezwalają na wyłączenie z listy jednego dziecka. Tym dzieckiem byłam ja. Moi bliscy odjeżdżali, a mnie kazano pozostać. Wśród krzyku i płaczu (chciałam jechać) zostaję zabrana do domu cioci Marii Dołhańczukowej – siostry mojej zmarłej niedawno matki.

W ten niespokojny czas wojny i obcych okupacji mieszkałam w domu, gdzie się urodziłam, skąd tak blisko na cmentarz, do grobu mojej ukochanej mamusi.

Chowałam się z Lidzią i Tadzkiem, moim ciotecznym rodzeństwem. Nasze dziecięce oczy ujrzaly wszystko co najgorsze i najstraszniejsze, co przyniosła wojna naszemu miastu i jego mieszkańcom.

Mój wujek, Kazimierz Dołhańczuk (lekarz weterynarii) – podpora rodziny, w której ja znalazłam schronienie, w roku 1943 zostaje aresztowany przez Niemców.

Pamiętam jak elegancko, z fasonem został z domu zabrany sańmi, dla wyjaśnienia pewnych spraw. Został jednak zatrzymany w więzieniu, ale niedługo. Po tygodniu wraca do domu. Przypominam sobie jego uśmiech i jego piękne, białe zęby, gdy szczęśliwy znalazł się wśród swoich. Spokój nie trwał długo. Po kilku może dniach zainfekowany w więzieniu tyfusem wstrzykniętym mu przez funkcjonariuszy więziennych, niebawem umiera. Młody, silny mężczyzna. Zostaje wdowa z trojgiem małych dzieci, starymi, chorymi rodzicami i całym gospodarskim inwentarzem.

Życie rodziny jednak toczy się dalej. Jako dzieci uczęszczamy do szkoły. Jest to Publiczna Szkoła Powszechna w Tłumaczu. Uczę się pilnie, bo lubię pisać (nawet ułomne wierszyki) i czytać. Mam swoich ulubionych nauczycieli, koleżanki, kolegów.

Wspominam swoją ukochaną, uroczą nauczycielkę i wychowawczynię, p. Zosię Kapanowską, z którą posiadam kilka zdjęć, robionych najczęściej w tłumackim parku.

Lata okupacyjne trwały. W dziecięcej mojej pamięci utrwały się obrazy, niczym koszmarnie migawki z sensacyjnych filmów.

Trudno nie wspomnieć o tragicznym losie Żydów tłumackich. Była to prawdziwa makabra. Okrucieństwo okupanta nie znało granic. Pamiętam wybryki gestapowców, strzelających z pistoletów do nieszczęsnych ludzi spotkanych na ulicy. Brzęk tłuczonych szyb, lecących z okien, wybijanych kolbami w przydrożnych, żydowskich domach.

Całe kolumny bezbronnych, żydowskich rodzin, pędzonych przez miasto.

Obrazy takie i tym podobne oglądało się na porządku dziennym „na żywo”, w drodze do szkoły lub wracając z niej.

Współczuliśmy tym biedakom, lecz nie było możliwości udzielenia im pomocy.

Wybuchy bomb lotniczych i pocisków armatnich. Szum ognia katuszowego mieszał się z powietrznymi walkami nieprzyjacielskich samolotów. Na skutek przesuwających się walk frontowych, w obszarze których tak często znajdował się Tłumacz, ludność cywilna doświadczyła tragicznych przeżyć i cierpień wojennych.

Przypominam sobie naszą (o świcie) paniczną ucieczkę w pole, przed zapowiedzianym bombardowaniem miasta.

Był to okres ruskich świąt Wielkanocnych, 1944 r. Naszej rodzinnej ucieczce towarzyszyły po drodze przeraźliwe odgłosy wystrzałów i terkoty pocisków z karabinów maszynowych niemieckich samolotów. Biegając polem dotarliśmy do zabudowań pp. Macków, których dom i budynki gospodarcze już były obłożone przez licznych uciekinierów. Było też trochę wojska. Jedyna bezpieczna twierdza w szczerym polu. W domu pp. Macków głowa przy głowie, krzyk i płacz dzieci, przeplatany błagalną modlitwą „Pod Twoją obronę uciekamy się”. Prośby o pomoc i ratunek wystraszonych, bezradnych ludzi. Opatrzność Boska zlitowała się, bo żadna bomba tam nie spadła, skutkiem czego uniknięto wielkiej masakry.

Wieczorem, po ustaniu walk, wracaliśmy, jak pamiętam, poprzez okopy i zasieki wojskowe, do domu, z nadzieją, że nie został zburzony. I tak było. Ściany



Lata dziecinne w Tłumaczu.

Od lewej: Dziusia Olejnicka, Niusia Tomyn, Danka Górska, Lidzia Dalhańczuk, Danka Tabińska, siedzi Irusia Bilińska

podziurawione przez kule, szyby okienne potłuczone, ale dom ocalał.

Tłumackie dzieje mojej rodziny przeplatały się z losami bliskich nam sąsiadów z ulicy Ormiańskiej. Dobrze pamiętam pp. Radłowskich, Paradów, Bojczuków, Wiśniewskich, Mańkowskich, Sokołowskich. Wspieraliśmy się nawzajem w okresie obcych okupacji.

Zmora tych wojennych lat były też różne choroby, rany, wrzody, wszy nękające ludzi i zwierzęta domowe. Będą pamiętane do końca naszych dni – przeżycia wojenne, których nie można wymazać z pamięci.

Jednego nie zazналиśmy w rodzinie – głodu. Nie było dostatku, lecz nie było też skrajnej biedy. W gospodarskim domu moich dziadków Pawłowskich stałe były jakieś zapasy żywności: ziemniaków, chleba, mąki kukurydzianej (na kuleszę) i mleka, tak potrzebnego dzieciom.

Wkrótce jednak trzeba było opuścić swój dom, rodzinne strony i bez środków do życia wędrować w świat. W roku 1944, wraz z całym dobytkiem, wyjechaliliśmy do Stanisławowa, gdzie znajdował się pierwszy, bezterminowy przystanek w drodze na zachodnie ziemie odzyskane.

W ciągu kilku miesięcy mieszkaliśmy w domku przy ulicy Kotlarewskiego. W Stanisławowie ja i moje cioteczne rodzeństwo: Lidzia i Tadzik uczęszczaliśmy (krótko) do szkoły powszechnej.

Kapaliśmy się w płynącej nieopodal Bystrzycy i wędrowaliśmy jej brzegami, z dużym wilczurem. Pewnej nocy rozpętała się burza ognia i eksplozji, wystrzały i potężny huk armat. W domu zrobiło się jasno od błysków światła i ognia. Przerażeni – byliśmy pewni, że to napad banderowców. Znowu śmiertelny strach sparaliżował domowników.

Z jaką ulgą i radością przyjęliśmy rankiem wiadomość, że tak świętowano upragniony koniec wojny. Był to 9 maja 1945 roku. □

Kościół pw. św. Anny – tłumaccy księża

Obraz Wniebowzięcia NMP z Ottynii, pow. Tłumacz, w kościele parafialnym w Ligocie Książęcej koło Namysłowa

Tadeusz Kukiz

Zbaczając 2 km na wschód od miejscowości Minkowice (leżącej przy szosie Olawa-Namysłów), dojeżdża się do wsi Ligota Książęca, w której od 1957 r. znajduje się łaskami słynący obraz z kościoła parafialnego w Ottynii.

Ottynia położona jest 20 km na południe od Tłumacza. W 1669 r. Andrzej Potocki, kasztelan krakowski, uposażył tu parafię i ufundował drewniany kościół, a w r. 1775 arcybiskup lwowski, Wacław Sierakowski, dokonał konsekracji. Do 1783 r. duszpasterzami w Ottynii byli księża scholastycy ze stanisławowskiej kolegiaty, a później księża diecezjalni.

Osobliwy – zgodnie z duchami epoki pełen licznych makaronizmów – opis okoliczności powstania ottyńskiego obrazu przytoczył z rękopisu kościelnego ks. Sadok Barącz, autor wydanej pod koniec XIX w. książki, pt. „Cudowny obraz Matki Najświętszej w Polsce”. Po przetłumaczeniu* wtrąconych wyrazów łacińskich tekst brzmi następująco:

„Najpierw należy wiedzieć, że ten obraz Niepokalanie Poczętej przedstawionej jako Wniebowzięta, na zamówienie ks. Aleksego Borzyna, scholastyka stanisławowskiego PKO (Przesławnej Kapituły Opackiej – przyp. T.K.), sumptem Jana Kamińskiego, generalnego ekonoma stanisławowskiego, namalował w r. 1718 uczciwy i pobożny malarz z Żukowa, Kazimierz Ładoński, który – jak tego dowodzą oświadczenia wielu godnych zaufania (osób) – zanim namalował, trzy dni ani jadł, ani pił, tylko się modlił prosząc Boga, aby mógł jak najprzystojniej odmalować Maryję.” – I – patrząc na wynik jego pracy – przyznać trzeba, że dzieło udało się znakomicie. Jest to, poza tym, typ wizerunku rzadko spotykany w ikonografii Maryjnej.

Za ks. Barączem można również przytoczyć opis obrazu: „(...) na desce malowany, owalny, trzy łokci wysoki, przedstawia św. Trójcę koronującą Najświętszą Pannę Niepokalaną unoszącą się nad kulą ziemską i księżycem, gwiazdami otoczoną.” U podstawy wizerunku NMP na szferfie, zapewne później dodany napis: „Ucieczko grzesznych módl się za nami.” Już w latach 1757-1779 „zapisano 9 cudów zaprzysiężonych.”

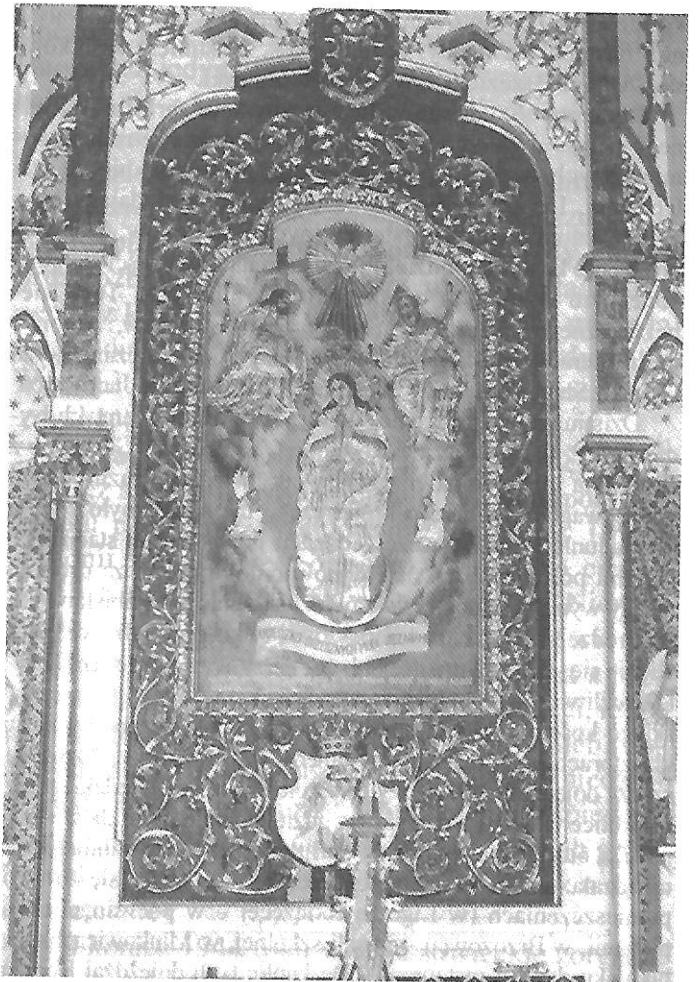
Z parafią ottyńską związana była rodzina poety, Franciszka Karpińskiego. Brat, Antoni, był tam zastępcą proboszcza („komendarzem”), ojciec zarządzał majątkiem Potockich w pobliskiej wsi Hołosków i tu właśnie urodził się Franciszek Karpiński. Na ścianie tamtejszego kościoła, jak opowiadał mi ks. Czesław Tuzinkiewicz, znajdowała się tablica z napisem:

„Tum się rodził
Tum się chował
Tu mnie ojciec stary
Uczył słów polskich Chrystusowej wiary”

Podobno są to słowa poety. Czy tablica ta jeszcze się zachowała, nie wiem.

W 1905 r., staraniem ks. Schweigera, wybudowano w

* Tłumaczył ks. dr Stanisław Cały



Obraz Wniebowzięcia NMP z kościoła w Ottynii

Ottynii nowy murowany kościół w stylu neogotyckim, konsekrowany w roku 1924. Ustawiony w nim ołtarz główny, także neogotycki, sprowadzony z Tyrolu, był dziełem tamtejszych snycerzy. Inny ottyński proboszcz, ks. Stanisław Perenc, zadbał o konserwację obrazu i sprawienie nowych, pięknych ażurowych ram. Mówi o tym umieszczona u dołu obrazu łacińska inskrypcja: „Renowata et novis ramis operata cura Stanislai Perenc parochi ottyniens. A.D. 1937” (odnowiony i w nowe ramy oprawiony staraniem Stanisława Perenca, proboszcza ottyńskiego. Roku Pańskiego 1937”). Ten zasłużony kapłan w 1945 r. został przez władze sowieckie aresztowany i zawieziony do Stanisławowa. Od tego czasu nie dał znaku życia. Potem aresztowano wikariusza, ks. Bolesława Szczurkowskiego, który również zginął w nieznanym okolicznościach.

Ottyński obraz Matki Bożej Wniebowziętej umieszczony był w ołtarzu głównym; pielgrzymowały doń rzesze wiernych; przy odsłanianiu go i zasłanianiu śpiewano pieśń wzorowaną na tekście „Śliczna Gwiazdo miasta Lwowa”:

„Gwiazdo śliczna, wspaniała
 Ottynijska Maryja,
 Do Ciebie się uciekamy,
 O Maryjo, Maryjo!
 I my tu zgromadzeni,
 Ukłon dajmy Maryi,
 Czyste serce Bożej Matce
 Darujmy ach! Darujmy!”

Wiosną 1945 r. do osieroconej parafii w Ottynii skierowano ks. Jerzego Doleżala, aby wysiedloną ludność objął opieką duszpasterską i zorganizował wywóz wyposażenia kościoła. W przygotowaniach do wyjazdu współpracowały z nim następujące osoby: Józef Gacek, Kazimierz Jaśnikowski, Antoni Brzezicki i Władysław Zaleski.

Rozbieranie, zdejmowanie i pakowanie sprzętu kościelnego trwało dwa tygodnie; pomagali członkowie rodzin wymienionych wyżej osób i inni parafianie, głównie ze wsi Uherniki. Ich pracę dyskretnie ochraniaли posiadający broń polscy członkowie tzw. Isterbitelnych Batalionów. Całe wyposażenie kościoła podzielone zostało na trzy części i wywożone było w różnym czasie jako ich mienie(!). Tego niebezpiecznego zadania podjęli się: Leon, Stanisław, Antoni i Piotr Bieniowie, Michał Jaśnikowski, Michał Boczar, Stefan Zaleski, Stanisław Piotrowski, Piotr Fiszer i Józef Jurkiewicz.

Dziś już nie żyją prawie wszyscy świadkowie tamtych wydarzeń, a żyjący nie wszystko pamiętają. Państwo Gackowie z Brzozowa nie zapomnieli jednak, jak to jednego razu podstawiono wagony na bardzo krótki czas i nie można było zdążyć z załadunkiem, tak że część bagażu pozostała na stacji. Ks. Doleżał postanowił zostać i pilnować go, a potem za osobiste rzeczy wynajął samochód i zawiózł skrzynie do Stanisławowa. Po drodze przeżył napad bandytów i tylko przypadkowe pojawienie się oddziału radzieckich żołnierzy wypłoszyło ich. Dzięki życzliwości i pomocy kolejarzy ta część wyposażenia ottynijskiego kościoła dotarła do Krakowa i została zdeponowana w klasztorach oo. Zmartwychwstańców i Karmelitów. Pozostałe rzeczy dojechały do Międzyzlesia koło Bystrzycy Kłodzkiej oraz w okolice Olawy i Namysłowa, gdzie głównie osiedliła się ludność z ottynijskiej parafii. Początkowo ludność samorzutnie urządziła kaplice w różnych, jako tako nadających się do tego pomieszczeniach (w Ligocie Książęcej – w poewangelickiej plebanii, w Brzozowcu – w sali szkolnej, w Minkowicach – w budynku dawnej restauracji). Do kaplic tych dojeżdżał Roman Pietruski, administrator parafii w Minkowicach Olawskich (były proboszcz w Potoku Złotym na Podolu).

W 1955 r. parafii minkowickiej przekazano ruiny ewangelickiego kościoła w Ligocie Książęcej (były to tylko mury i wieża bez dachu). Okoliczności odbudowy tej świątyni opisuje w jednej ze swych prac wiele zasłużony historyk Kościoła na dawnych wschodnich i obecnych zachodnich rubieżach Polski, ks. infułat dr Waclaw Szetelnicki.

„Kuria arcybiskupia chętnie skorzystała z tej możliwości i skierowała do Minkowic Olawskich dnia 8 XII 1955 r. młodego, nowowyświęconego kapłana, ks. Jana Kwasika jako wikariusza, z obowiązkiem zamieszkania w Ligocie Książęcej i zajęcia się odbudową kościoła (...)

Mieszkańcy Ligoty Książęcej i okolicy przeżyli swój wielki dzień 15 VIII 1957 r., gdy przybył do nich ks. bp Bolesław Kominek, celem poświęcenia kościoła. Z bliższej i dalszej okolicy, furmankami, rowerami i pieszo przybyły na tę uroczystość wielotysięczne rzesze, które wypełniły szczelnie kościół i jego otoczenie. Ks. biskup w asyście wielu księży najpierw poświęcił kościół, a następnie dokonał uroczystej intronizacji obrazu Matki Boskiej z Ottynii (do tego czasu znajdującego się w Brzozowcu – przyp. T.K.). Wygłosił on też kazanie. Sumę zaś celebrował kanclerz kurii ks. Waclaw Szetelnicki.



Chorągiew Jeruzolimka

Konsekwencją odbudowy było utworzenie z dniem 13 X 1957 r. w Ligocie Książęcej parafii, której pierwszym administratorem został ks. Jan Kwasik (...).

W Ligocie Książęcej obraz MB otoczony jest nadal czciami wiernych z parafii i sąsiedztwa, a odwiedzają go także byli mieszkańcy Kresów południowo-wschodnich, w tym przede wszystkim wywodzący się z okolic Ottynii. Jak dawniej, zasłaniany i odsłaniany jest przy dźwiękach melodii pieśni śpiewanej niegdyś w ottynijskim kościele.

W roku 1944 pochodzący z Ottynii żołnierze Armii Polskiej na Zachodzie, przebywając w Jerozolimie, ufundowali chorągiew dla kościoła swej rodzinnej miejscowości. Powikłane powojenne dzieje spowodowały, że nie mogli jej przywieźć do Ottynii (przechowywana jest obecnie w Polskim Instytucie i Muzeum im. gen Sikorskiego w Londynie). We wrześniu 1996 r. Muzeum Historyczne we Wrocławiu, w którym niebawem otwarty zostanie Oddział Kresowiaków, podjęło starania o przekazanie tej pamiątki do Kraju. Podobne kroki – z zamiarem umieszczenia chorągwi w kościele w Ligocie Książęcej – podjęło środowisko dawnych ottynijskich parafian.

Kościół w Ottynii po latach dewastacji i prób zaadaptowania go do celów przemysłowych doczekał się powrotu do swych właściwych funkcji. Został bowiem zwrócony prawowitym użytkownikom – wiernym wyznania rzymsko-katolickiego i w 1992 r. sufragan archidiecezji lwowskiej Marjan Trofimiak dokonał jego rekoncepcji. Na uroczystość tę przybyła z Polski grupa dawnych parafian.

Wiadomość z ostatniej chwili:

Wg ostatnich informacji chorągiew z muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie przekazano do kościoła w Ligocie Książęcej koło Namysłowa. (Red.) □

W cieniu białych nocy i czarnych dni

Najjaśniejsze i najciemniejsze chwile mego życia (c.d.)

Anna Panachida-Bocheńska

Po powrocie z pracy do ziemianki, zastawałam Matkę i Cesię, które zaraz pytały, czy przyniosłam w torbie jakieś jedzenie. Bywało nieraz, że im coś przynosiłam.

Kiedyś wczesnym rankiem obudził nas śmiech pani Białkowskiej, siedzącej na skrzyni z ustawioną deską (ten mebel bowiem służył nam za ławkę) trzymając dziurawe wiadro w ręku. Otóż, rano miejscowe „chadziajki” wyganiały swoje krowy na wypas, a Polki robiły polowanie na świeży „kiziak”. Toteż kiedy kirgiska krowa podniosła ogon, to trzy Polki biegły w jej kierunku, ale nie skorzystały ponieważ Kirgizka wybiegła z ziemianki i krzychała: „Kuda, moja korowa, majo gawno”. Takie to były czasy; Polki odeszły z niczym. Była to scena godna śmiechu.

Latem zachorowałam. Było to silne zatrucie. Leżałam mizerna w konwulsjach. Pamiętam, że przyszła ruska kobieta i kazała mnie nakryć, żebym spokojnie umarła. Matka wpadła w panikę. Wysłała siostrę Cesię po Józję, która pracowała wtedy w szpitalu, a sama pobiegła do ruskiej sąsiadki i wyżebrała kawałek suchara. Potłukła go, podniosła moją głowę i na siłę wciskała pożywienie między zęby. Po chwili przyszła siostra Józja z miejscową lekarką i podała mi jedną tabletkę. To przyniosło mi ulgę. Po zatruciu podniosłam się z łóżka, ale wyglądałam jak cień. Wiatr mną kołysał. Wieczorami zasypiając ze starszą siostrą na żelaznym łóżku (bo matka z Cesią spały na piecu) przymykałam oczy i biegałam po rodzinnym domu w Tłumaczu, biegałam po znajomych ścieżkach, a łzy cicho spływały mi po twarzy z tęsknoty za ukochanym Ojcem. Zdawało mi się, że to chyba koszmarny sen, że obudzę się i znów wszyscy będziemy razem, szczęśliwi jak dawniej. Podczas nocnych dyżurów na poczcie, po całodziennym marszu w za dużych walonkach, na świeżym powietrzu, układałam się na podłodze i zasypiałam kamiennym snem. Trzeba nadmienić, że budynek poczty był z drewna i były w nim podłogi, pozostałe po carskiej Rosji.

Nosiłam płaszcz po starszej siostrze, przywieziony jeszcze z Polski. Stracił on już dawno swój szyk i elegancję przez naszycie ogromnych łat cająkowych, gdyż wełna polska nie mogła się oprzeć radzieckiej brezentowej torbie listonoszki.

Największą moją zgorą były ogromne białe psy, które w zimie były wypuszczane na wolność. Uwią-

zane psy pożerane były przez wygłodniałe wilki, dlatego też jedyną bronią psa domowego była jego wolność. Ja z kolei do dziś noszę blizny na nogach po psach sybirskich.

Młodzież sowiecka często starała się nam dokużyć w swoich piosenkach, np”: „My Polszu gorodoju rozbili i swoi znamiona proniesli” (My Polskę hardą rozbili i swoje godło przynieśli). Władza sowiecka z kolei powtarzała: „Waszej Polszy nie było i nie budiet, zdies’ budiesz żyt’ i zdies’ podychat’” (Waszej Polski nie było i nie będzie, tu będziesz żyć i zdychać).

Gdy zaczęła się zsyłka na te tereny Japończyków, to im też śpiewali: „My Japońca pieriebjem pod garmoszku pliaszem” (My Japonię rozbijemy i przy harmonii zatańczymy). Japończycy bardzo ciężko znosili trudy zesłania, ale jeszcze gorzej Niemcy Nadwołżańscy. Były to chodzące ludzkie cienie. Telegraf na poczcie obsługiwała uciekiniarka z Moskwy, Pola Moczalkina. Miała ona troje dzieci, które przybiegały często pod okno i prosiły o chleb. Ojciec ich był na froncie, bronił ojczyzny. W niedzielę, kiedy było więcej czasu, Pola również śpiewała lub na zmianę biła się w piersi i mówiła: „Ech grudi orłowska, a żyzn ch...ja (Ech, pierś moja jak u orła, a życie ch...e).

Pod koniec 1944 roku władze sowieckie zorganizowały transport do Polski. Mieliśmy być przewiezieni na Zachód. Nie wiedzieliśmy gdzie, ale radość rozsadzała nam piersi, że będziemy bliżej Polski. Był jednak wielki problem, bo na nasz rejon przeznaczono tylko trzy wagony. Wiadomo więc, że nie wszyscy wyjadą. Radość mieszała się z niepokojem, czy będziemy na liście? Byliśmy, na szczęście. Matka za ostatnie ruble szykowała suchary na drogę. Ziemiankę sprzedaliśmy zesłańcom z Kaukazu, Inguszom. Przy kupnie ziemianki padła propozycja, że nabywca chętnie kupi też mnie. Mama brała to za żart, ale ja byłam pewna, że z jego strony to wcale nie był żart. Roznosząc listy widziałam, że dziwnie mi się przyglądał. Nie lubiłam tego wzroku. Powiedziałam więc Matce, żeby nie żartowała z nim, bo to są mężczyźni, którzy kupują po kilka żon. Nareszcie wyjeżdżamy!!! Podróż nasza trwała cały miesiąc. Za Połtawą, w nocy zaczęli wyrzucać z wagonu niektóre polskie rodziny. Słychać było krzyki i płacz. Nasze wagony dojechały jednak do Kijowa i zostały odstawione na bocznice. (c.d.n.)

Tłumacki Holocaust

„Sprawiedliwi – prawi nie Żydzi”

Shlomo Blond

Ciąg dalszy wyjątków z książki „*The Righte ans Gentiles*”, wydanej w Izraelu w 1970 r.

Fanke Kader-Steinmetz

W tym opowiadaniu pragnę przedstawić losy dwojga ludzi: Fanke Kader z Tyśmienicy i Abrahama Steinmetza ze Stanisławowa, którym prawi chrześcijanie różnych narodowości, pomogli przetrwać tragiczne lata okupacji hitlerowskiej.

Kiedy w Tyśmienicy zlikwidowano całą społeczność żydowską, ścierając ją dosłownie z powierzchni ziemi, Fanke udało się uciec do Tłumacza, gdzie przebywała do września 1942 r. Gdyż i tłumackie getto zostało zagrożone likwidacją, wymknęła się nocą z powrotem do Tyśmienicy. Rodzinne miasteczko wydawało się jej teraz zupełnie obce. Nad zniszczonym gettem wisiała przerażająca cisza. Włóczyła się więc po opustoszałych ulicach, wspominając wolne od trosk dni swojej młodości.

Konieczność szukania schronienia skierowała ją do klasztoru zakonnice ukraińskich, który mieścił się za cerkwią. Znała bowiem Przełożoną tego zakonu, matkę Farasterię, osobę bardzo pobożną. Zakonnica, gdy tylko zobaczyła Fanke, od razu zrozumiała, po co do niej przyszła ta młoda dziewczyna. Nie traciła więc czasu na zadawanie zbędnych pytań, tylko zaprowadziła ją do swojej celi, nakarmiła i zaopatrzyła we wszystko. Podczas dwudniowego pobytu w klasztorze Fanke opowiedziała Matce Przełożonej o strasznym postępowaniu nazistów podczas likwidacji getta w Tyśmienicy i Tłumaczu. Po dwóch dniach zmuszona była jednak opuścić klasztor, gdyż pozostałe zakonnice nie wyraziły zgody na jej pobyt.

Przełożona wyprowadziła więc Fanke poza klasztor do ogrodu, a w altance pozostawiła jej zapas żywności. Zakonnice, które to spostrzegły odebrały dziewczynie cały prowiant. Zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa przebywania w tym miejscu, opuściła je i poszła do wsi Targowica do domu Flisakowej

Gospodyni była uczciwą i dobrą kobietą i gdy spostrzegła, w jakim stanie znajduje się dziewczyna, zabrała ją do domu, przygotowała schronienie, w którym Fanke przebywała cztery miesiące.

Niestety, obaj synowie gospodyni byli pod stałą obserwacją policji, która od czasu do czasu przeszukiwała ich dom. Fanke zdawała sobie sprawę, że w wypadku rewizji ona i jej dobroczyńcy narażeni byli na wielkie

niebezpieczeństwo. Postanowiła więc udać się do Buczacza. W nocy poszła na stację. Na torach stał pociąg, który miał odjechać w tym kierunku. Fanke po wejściu do wagonu, w umywalce doprowadziła się do porządku. Kiedy pociąg ruszył poszukała konduktora i powiedziała, że nie miała czasu wykupić biletu. Konduktor popatrzył na nią podejrzliwie i widać było, że się zorientował, kim ona jest. Okazał się jednak porządnym człowiekiem. Zabrał ją do swego przedziału i kazał czekać, a kiedy pociąg minął czwartą stację za Tyśmienicą, wrócił do przedziału, żeby spożyć swój posiłek, którym podzielił się z Fanke. Poradził jej, żeby wysiadła w Monasterzyskach, ponieważ stacja w Buczaczu jest dokładnie kontrolowana. Nie sprzedał jej biletu, ale w Monasterzyskach podszedł do biletera i poprosił, żeby ją przepuścił. Tymczasem zrobiło się jasno. Nadaremnie jednak Fanke szukała Żydów, żadnego już w tym mieście nie było. Rano więc poszła do Buczacza. Tutaj istniało getto. Fanke zapukała do pierwszego domu, a jego mieszkańcy pozwolili jej pozostać u siebie. W getcie częste były łapanki, a transporty wypełnione schwytanymi ludźmi codziennie opuszczały stację udając się w nieznanym kierunku. Fanke udało się uniknąć łapanek i znaleźć miejsce w domu szewca, prawego chrześcijanina, który z trudem zarabiał na życie swoją pracą. Mieszkał on na skraju miasta, niedaleko lasu. (bardzo szkoda, że Fanke nie zapamiętała jego nazwiska). Z Fanke przyszła grupa młodych kobiet i mężczyzn, uciekinierów z getta, którzy w razie zagrożenia lub niepogody ukrywali się u szewca. Szewc zaopatrywał ich w żywność, a z czasem stał się dostawcą wszystkich Żydów, ukrywających się w tej okolicy, gdyż oni sami nie mogli pokazywać się na targowisku.

Pewnej nocy, idąc przez las, Fanke znalazła się w wiosce Żyżnomierz (trzy kilometry na południe od Buczacza), w której mieszkała chrześcijańska rodzina o nazwisku Bestilna. Fanke poprosiła o ukrycie jej do rana. Gospodyni od razu zorientowała się, że jest to dziewczyna żydowska, ale zaprosiła ją do izby, nakarmiła i powiedziała, że może zatrzymać się u niej przez jakiś czas, pomimo tego, że surowo było zabronione udzielanie pomocy Żydom.

Pewnej nocy wielu Żydów ukrywających się w lesie

przyszło do szewca. Między nimi był Abraham Steinmetz ze Stanisławowa, który poradził Fanke, żeby została u Bestilnych, gdyż okolica, w której mieszkał szewc nie była zbyt bezpieczna, a później aby dołączyła do jego grupy ukrywającej się w lesie. Obok lasu mieszkała kobieta z dwoma synami – rodzina Dudlejów. Już przed wojną była ta rodzina znana z przyjaznego stosunku do Żydów. W nocy Żydzi przychodzili do nich, żeby odpocząć i uporządkować się. Tutaj też dowiadywali się o sytuacji na froncie. Zwycięstwa Sowietów dawały im siłę i stwarzały nadzieję na przetrwanie. Fanke dołączyła do tej grupy i zamieszkała w schronie razem ze Steinmetzem i innymi. W marcu, wskutek ofensywy sowieckiej, w lesie znalazło się wiele oddziałów niemieckich. Uciekli więc do Buczacza, gdzie spotkali innych Żydów, którzy dotychczas ukrywali się u chrześcijan. Sytuacja zmieniała się stale. Niemcy bowiem podjęli kontrofensywę i z powrotem zajęli te tereny. Żydzi nie skorzystali ze sposobności, żeby odejść z wycofującymi się oddziałami sowieckimi, tylko powrócili do swoich schronów w lesie i czekali na ponowne nadejście wojsk sowieckich. To niestety wielu zgubiło. Na podstawie donosów Ukraińców Niemcy zaczęli przeszukiwać domy wiejskie i lasy poszukując ukrywających się Żydów. Około 500 Żydów straciło wówczas swe życie.

Fanke, z grupą składającą się z czterech mężczyzn i dwóch kobiet, opuściła las i schowała się w dobrze ukrytym schronie. W nocy kobiety szły do lasu i tam gotowały posiłki, a potem zacierały ślady po ogniu. Pewnego dnia, kiedy spały w schronie, a mężczyźni siedzieli przed nim, do lasu przyszedli na polowanie niemieccy żołnierze. Zaskoczeni mężczyźni zdołali uciec, ale Niemcy zauważyli zejście do schronu. Zbudzili śpiące tam kobiety i zabrali je do Buczacza. Dwóch żołnierzy pochodziło z polskiego Śląska. Jeden z nich nazywał się Franciszek Miedziński. Trzeci żołnierz był Niemcem z Dortmundu i nazywał się Heinz Rudolf. Fanke miała zranioną nogę i kulą. Rudolf, gdy zobaczył ranę, przy pierwszej studni umył jej to skaleczone miejsce i założył swój opatrunek.

Kobiety były pewne, że zostaną zastrzelone i płakały całą drogę, prosząc żołnierzy, żeby je puścili. Rudolf zgadzał się na to, ale Ślązacy sprzeciwiali się. Zamknięto je w wojskowym więzieniu w Buczaczu. W dzień pracowały w kuchni, a na noc zamykane były w celi. Rudolf był strażnikiem w więzieniu i odwiedzał je codziennie mówiąc, że postara się je uwolnić. Rzeczywiście, polecił najpierw towarzyszkom Fanke (pochodziły z Tarnopola) powiesić bieliznę, a potem uciekać do lasu.

Fanke pozostała w więzieniu czekając na swoją kolej. Gdy pewnego dnia uskarżała się na ból głowy, wówczas Rudolf przyniósł jej tabletkę, której ona nie chciała zażyć sądząc, że to trucizna, wówczas on chcąc ją przekonać, że tak nie jest, sam połknął tę tabletkę.

Wkrótce Niemiec zabrał Fanke do lasu i poszukiwał z nią Steinmetza, który przebywał w schronie, ale na ich

widok uciekł. Sądził bowiem, że to zasadzka, że Niemiec zmusił Fanke, żeby go wołała, a kiedy się pojawił to go aresztuje.

Gdy na prośbę Fanke, Niemiec zostawił ją samą w lesie, wówczas Steinmetz zdobył się na odwagę i wrócił. Fanke opowiedziała mu całą historię o aresztowaniu i życzliwości Rudolfa. Potem Rudolf często przychodził do lasu na polowanie i przy tej okazji odwiedzał ich w schronie, przynosząc im żywność i inne rzeczy. Mówił im, że napisał o nich do swojej matki do Niemiec, a ona odpisała, żeby im pomagał jak tylko może. Widząc, że Rudolf nie jest nazistą i nienawidzi Hitlera, oboje namawiali go do pozostania z nimi, obiecując, że po zwycięstwie Rosjan zaświadczą u odpowiednich władz, co on dla nich uczynił. Rudolf jednak bardzo bał się Rosjan i nie przyjął propozycji swoich przyjaciół. Ale jeszcze raz wyświadczył im przysługę. Gdy na krótko przed wycofaniem się Niemcy kazali wojsku przeszukiwać las, ażeby odnaleźć resztki ukrywających się Żydów, Rudolf z oddziałem żołnierzy przyszedł do schronu i pod pozorem, że złapał Żydów prowadził ich, ale szedł z nimi w przeciwnym kierunku i puścił wolno. Pozostali żołnierze byli jego przyjaciółmi i ufał im, że go nie zdradzą.

25 lipca 1944 r. Rosjanie ponownie zajęli te tereny. Wówczas Fanke i Steinmetz opuścili tę okolice, ale jeszcze przez trzy dni nie zdawali sobie sprawy, że są wolni.

Z Buczacza udali się do Tyśmienicy. Tutaj otoczyli ich Ukraińcy, którzy dziwili się, że widzą ich jeszcze żywych. Obok stał oddział żołnierzy czeskich, czeska brygada gen. Swobody. Wśród nich było wielu Żydów.

Wracając odwiedzili dom Flisakowej, gdzie Fanke przebywała przez jakiś czas. Następnie poszła do Matki Przełożonej, Frasterii, żeby jej podziękować za dobre serce, ale jej nie zastała, gdyż przeniesiono ją do Stanisławowa. Kiedy zakonnice zobaczyły Fanke nastraszyły się, ale ona uspokoiła je, mówiąc że nie zamierza się mścić. Zapytała je tylko, gdzie wówczas było ich chrześcijańskie sumienie, kiedy widziały ludzi zabijanych i ginących z głodu. Przypomniała im żywność, którą jej odebrały.

Tego samego dnia Fanke i Steinmetz, już jako małżeństwo udali się do Stanisławowa i zupełnie przypadkowo spotkali Matkę Farasterię na ulicy. Spotkanie było wzruszające, obie kobiety płakały ze szczęścia. Przez cały czas, aż do chwili wyjazdu do Polski, małżeństwo pozostawało w przyjaźni z zakonnicą.

W Polsce Steinmetzowie mieszkali przez jakiś czas m.in. w Bydgoszczy. A w 1956 r. osiedlili się w Izraelu. W 1960 r. razem z dziesięcioletnią córką przenieśli się do Ameryki. Obecnie ich córka ma troje własnych dzieci. Historia Fanke i Abrahama Steinmetzów to jeszcze jedna historia o ludzkim udęczeniu, o uczuciu śmiertelnego strachu, ale zarazem o odwadze, a przede wszystkim o woli przeżycia ludzi z narodu skazanego przez hitlerizm na zagładę. To jeszcze jedna opowieść o ludzkiej solidarności.

(c.d.n.)

Wiadomości z życia tłumaczan

Jan Johnson

Kresowa Modlitwa

*Chwałę Cię Panie gwiazd jasnym lśnieniem.
Chwałę Cię Panie z wiatrem z Kresów wiejącym.
Chwałę Cię zawsze każdym serca drgnieniem,
Każdym uśmiechem w promyku słońca lśniącym.
Nie wiem, jak Ci okazać mą miłość i oddanie,
Mą ufność i wdzięczność i żal za złe czyny,
Ale Ty i tak wiesz wszystko...! Boże mój i Panie,
Czy mi przebaczysz? Opuścisz me winy...?
Będę Cię chwalił w dzień każdy, powszedni,
A Dzień Święty niech blask słońca opromienia.
Bez Ciebie Panie bylibyśmy bardzo biedni.
Twa dobroć niech smutek w radość nam zmienia.
Wielbię Cię Panie poprzez wszystkie czasy
Smerem strumyka modlitwę zanoszę
Śpiewem ptaków, poszumem lecącym przez lasy
Wielbię Cię Panie. Nie odtrącaj... proszę...*

*Zostało odczytane na zebraniu opłatkowym
w dniu 25 stycznia 97 we Wrocławiu*

Goście z Anglii

Po świętach Bożego Narodzenia Zarząd Klubu „Tłumacz” i Redakcja Z.T. miała przyjemność spotkać się z kranjanem, kol. Janem Majdańskim, i jego Małżonką, stale mieszkającymi w Anglii.

Spotkanie odbyło się w mieszkaniu gościnnej Nusi Panachidy-Bocheńskiej, która wraz z siostrą Ziutą Panachidą-Skowron mieszka we wspólnym domu na Kowalach (dzielnica Wrocławia). Obie siostry przygotowały stół pełen świątecznych potraw. Uroku temu spotkaniu dodawała piękna, rozświetlona choinka.

Po podzieleniu się opłatkiem i złożeniu sobie wzajemnie życzeń podziękowano serdecznie Gościowi za jego pomoc finansową dla „Z.T.”.

A później, już przy stole, rozpoczęły się „rodaków rozmowy” przeplatane kolędami i solowym śpiewem Gospodyni. Żona kol. Jasia, nie znająca dobrze języka polskiego, z miłym uśmiechem przysłuchiwała się rozmowom i śpiewom tłumaczan.

Gość z sentymentem wspominał okres swego pobytu w bursie w Tłumaczu i nawet obiecał coś na ten temat napisać. Z rozrzewnieniem również wspominał majowe pieśni maryjne, grane z wieży kościoła w Tłumaczu. „Przy nich budziłem się i myślałem, że już jestem w niebie”. Opowiadał, że pomimo wielu przeżyć w różnych stronach świata, najchętniej wraca myślami do czasów tłumackich. Na zakończenie spotkania Jan Majdański zapewniał, że będzie się starał przyjechać w czerwcu na spotkanie tłumaczan w Kołobrzegu, żeby znowu przy ognisku pośpiewać, jak 8 lat temu, gdy gościł na Zjeździe Tłumaczan w Trzebnicy.

Rozchodząc się życzo sobie *Do Siego Roku*.

*Wrażenia ze spotkania
spisała Krystyna Ossowska-Korta*

Spotkanie opłatkowe

Każdy z nas, tłumaczan, z wielką radością oczekiwał dnia 25 stycznia 1997 r., bowiem data ta wyznaczona była, jak co roku, na spotkanie na tradycyjnym opłatku we Wrocławiu o godz. 14.00 w Studium Medycznym Nr 2 przy ul. Św. Mikołaja. Zjechaliliśmy się z różnych stron Polski, w liczbie 39 osób. Najliczniej przybyli tłumaczanie z Wrocławia i Nysy, poza tym byli członkowie z Klubu Tłumacz z Lublina, Oławy, Rudy Śląskiej, Krakowa, Warszawy i Poznania. Z powodu choroby był nieobecny nasz prezes, Zygmunt Burczyński. Honory gospodarza pełnił więc Jerzy Czyżycki, który bardzo serdecznie powitał tłumaczan i gości. Zaszczycił nas swoją obecnością prezes Towarzystwa Miłośników Lwowa dr Andrzej Kamiński i rzecznik prasowy „Semper Fidelis” redaktor Zbigniew Umański. Jan Johnson wierszem swego autorstwa wprowadził nastrój godny przeżycia opłatkowego. Składaliśmy sobie wzajemne życzenia łamiąc się opłatkiem. Nasze niestrudzone koleżanki, wrocławianki, jak co roku z wielkim zaangażowaniem i ambicją gospodarzy spełniły pięknie swoją rolę. Stoły ustawione w podkowie, świątecznie udekorowane, płonące świece, zapraszały swoim pięknym kolorowym wyglądem i kuszącym zapachem do spożywania pyszności, które przygotowały koleżanki.

W towarzyskich rozmowach dowiadywałyśmy się o rzeczach, sprawach, wydarzeniach miłych i smutnych, tak jak to w życiu bywa.

Niusia Bocheńska zaśpiewała nam wesołą piosenkę o „mamałydze” – szlagier lwowski. Śpiewaliśmy wspólnie kolędy, piosenki z dawnych lat i piosenki o Tłumaczu autorstwa Nuśka Johnsona i Jurka Czyżyckiego. W obiegu była lista, na której zapisywaliśmy się na wczasy letnie w Kołobrzegu, jak co roku organizowane przez Julka Piotrowicza.

Upamiętniały ten wieczór robiąc zdjęcia, jak zawsze, Romka Króliczek i Krystyna Bojczuk. Rozmowom do godzin wieczornych nie było końca.

Z okazji tradycyjnego opłatka wszystkim naszym Tłumaczanom, którzy z różnych przyczyn nie mogli przyjechać na czas naszego wspólnego świętowania, przesyłamy ciepłe słowa, serdeczne pozdrowienia, miły uśmiech, piękny ukłon z życzeniami dobrego zdrowia, radości i dobrego humoru, aby znów zobaczyć się w Kołobrzegu.

A ja tam byłam i to widziałam, i to opisałam.

Nuśka Tomyn

Jak to jest z tym herbem?

Henryk Wilczewski

Od szeregu lat moim hobby jest heraldyka. Toteż z zainteresowaniem śledzę dyskusję, jaka wywiązała się wokół herbu Tłumacza.

Ponieważ sam czuję się do pewnego stopnia winnym całego tego zamieszania, jako że dostarczyłem redakcji ksero pieczęci z herbem Zarządu Miasta Tłumacza, muszę więc przedstawić swoje zdanie na ten temat.

Co do herbu Potockich uważam sprawę za dostatecznie wyjaśnioną i nie wymagającą komentarzy. Herb ich – Pilawa – przedstawiający półtrzecia krzyża, był między innymi herbem Stanisławowa, a kościół farny w tym mieście był fundacją tego znikomitego rodu.

Herb Tłumacza, przedstawiający złotą s i e d m i o ramienną gwiazdę na zielonym tle, jest pod wieloma względami czymś bardzo oryginalnym i rzadkim w polskiej heraldyce. Tło tarczy herbowej większości herbów polskich nosi kolor czerwony. Inne barwy, jakkolwiek niewykluczone, świadczą jednak o obcym pochodzeniu herbu i fakt ten należy uwzględnić w naszych rozważaniach. Można by tu zaryzykować pochopne twierdzenie, że herb ten jest pochodzenia ormiańskiego, bądź też bierze swój początek z krajów muzułmańskich, o czym świadczy barwa tarczy herbowej oraz złota gwiazda jako legenda. I tu mamy do czynienia z kolejnym argumentem przemawiającym za obcym pochodzeniem tego herbu. Według zasad heraldyki polskiej wszelkie herby, w których jako element legendy tarczy występuje jedna lub więcej gwiazd, przedstawiają – tylko i wyłącznie – gwiazdy s z e ś c i o ramienne. Mamy więc kolejny argument potwierdzający tezę o obcym pochodzeniu herbu. W tym miejscu należy zwrócić uwagę na jeszcze jeden element herbu, a mianowicie na koronę wieńczącą tarczę herbową. Na szczycie korony umieszczony jest krzyż, co świadczy o tym, że chodzi o koronę królewską. Ten symbol oznaczał niewątpliwie, iż chodzi o miasto należące do dóbr królew-

skich, acz nie wyklucza wcale władania nim na prawach zastawu lub dzierżawy przez szlachetnie urodzoną osobę pieczętującą się złotą s i e d m i o ramienną gwiazdą na zielonym tle. Jeżeli władający królewszczyzną posiadał już we władaniu inne miasto, to dla odróżnienia posiadłości mógł oznaczyć je herbem żony.

W miarę upływu czasu, nawet jeżeli nastąpiła wielokrotna zmiana władającego miastem, kolejni właściciele mogli zachować istniejący już herb, który stał się tradycyjny dla miasta.

I na koniec mała niespodzianka. Otóż jedynym herbem w polskiej heraldyce posiadającym na tarczy s i e d m i o ramienną gwiazdę jest herb „Guldensztern”. Guldenszternowie pochodzili we Szwecji lub Danii. Osiedli w Polsce. Wchodzili w związki małżeńskie z przedstawicielami wielu znakomitych polskich rodów, a panny Guldenszternówny brały za mężów m.in. Konopackiego – Kasztelana Chełmińskiego, Łosia – Stolnika Płockiego, Drochojewskiego – Chorążego Przemyskiego, Grzybowskiiego – Starostę Warszawskiego i innych. Nie jest wykluczone, że tą drogą herb „Guldensztern” zawędrował kiedyś do Tłumacza i stał się herbem tego miasta.

Rzecz może mieć również bardziej prozaiczny charakter. Na przykład sądy, mimo iż były instytucjami państwowymi, posługiwały się często pieczęciami z herbami ziemi lub miasta, bądź nawet herbem sędziego czy też podsędką. Istnieje więc możliwość, że herbu Tłumacza należałoby poszukiwać również i na tym odcinku. Podstawową trudność w przeprowadzeniu rzetelnych badań stanowi całkowity brak jakichkolwiek dokumentów archiwalnych i sądzę, że dokumenty takie w chwili obecnej już nie istnieją.

Przeprowadzony przeze mnie wywód jest oczywiście tylko hipotezą, nie pozbawioną jednak pewnych logicznych przesłanek, co starałem się pokrótce udowodnić. □

Listy

Mili Tłumaczanie!

Szanowna Redakcjo!

Trafiły ostatnio do moich rąk *Zeszyty Tłumackie Nr 1-3*. Z ogromnym zainteresowaniem zabrałem się do studiowania tychże. Jakżeby mogło być inaczej! Jestem kresowianinem, mieszkańcem pobliskiej Tyśmienicy (do 24.07.1944 r.). Jak każdemu z nas, bliskie mi więc są dzieje rodzinnych stron, które opuściliśmy, a na dodatek jeszcze tak mi bliskich jak Tłumacz i jego okolice.

Na szczególną uwagę zasługują według mnie przede wszystkim artykuły ks. L. Jeżowskiego pt. „Ulice Tłumacza i ich mieszkańcy”, w których tyle wspomnień o ludziach oraz oddany jest nastrój i atmosfera tego miasta.

Z niemalym wzruszeniem czytałem wspomnienia autora dotyczące tłumackiej „lokalki” i ludzi tej kolei.

Z uwagi na to, że gromadzę materiały, dotyczące kolei tamtych stron, pragnę uzupełnić niektóre dane przytoczone

przez autora. I tak: odcinek kolejowy między Tłumaczem a Pałahiczami wynosił 6 km. Czas jazdy „lokalki” na tym odcinku, tak w jedną jak i drugą stronę, rzeczywiście wynosił około pół godziny.

Wg Urzędowego Rozkładu Jazdy i Lotów z 1939 (ważny od 15 maja do 17 października 1939) odjazdy „lokalki” z Tłumacza odbywały się w godz. 6.04, 10.44, 15.58; przyjazd do Pałahicz 6.32, 11.12, 16.20.

Natomiast odjazdy z Pałahicz następowały o 8.25, 15.08, 19.58. Przyjazd do Tłumacza 8.53, 15.36, 20.20.

„Lokalka” z Tłumacza miała połączenie na pociągi do Stanisławowa (z Pałahicz) o godz. 6.38, 11.18, 16.35.

Cena biletu z Tłumacza do Stanisławowa (26 km) wynosiła w 2 kl. – 2.10 zł; w 3 kl. – 1.40 zł.

Z jazdą na trasie Pałahicze-Tłumacz mam również osobiste wspomnienia. Od 5 XI 1941 r. pracowałem na kolei jako robotnik torowy w odcinku drogowym w Tyśmienicy. Niejednokrotnie zatrudniany byłem, wraz z drugim pracow-

nikiem, do obsługi drezyny (roweru szynowego), którą nazywaliśmy potocznie „pedałówką”. Tą drezyną dokonywał objazdu p. Michał Piriło, zawiadowca odcinka drogowego – Tyśmienica. Jazda z Tyśmienicy była dość uciążliwa z uwagi na duże wzniesienie do Pałahicz, natomiast do Tłumacza zajeżdżaliśmy już z kawalerską fantazją. Prawie jak opisywana przez ks. L. Jeżowskiego „lokalka”. Podobną satysfakcję sprawiała nam jazda z Pałahicz do Tyśmienicy, bez pracy nóg dojeżdżaliśmy prawie do mostu kolejowego na Woronie, niedaleko stacji Tyśmienica.

Pan Demiańczuk – to Stefan Demiańczuk zawiadowca stacji IV kl. Tłumacz. W tym samym czasie zawiadowcami sąsiednich stacji byli: w Pałahiczach – Edward Kuźnier, Oleszowie – Rudolf Pasciuk, Tyśmienicy – Walerian Seile.

Pan Leśniak był zawiadowcą odcinka drogowego II kl. w Pałahiczach. Stał on w hierarchii służbowej, jak również jeśli chodzi o uposażenie, wyżej aniżeli zawiadowca stacji Tłumacz, p. Demiańczuk.

Zadaniem jego było utrzymanie linii kolejowej przy pomocy zatrudnionych robotników, na powierzonym odcinku w kierunku Tłumacza, Oleszowa i Tyśmienicy. (W 1938 r. stanowisko po p. Leśniaku objął p. Tomasz Kordziński – przyp. red.)

Dane personalne przytaczam w oparciu o Rocznik Komunikacyjny 1933/34 r. wydany przez Związek Pracowników i Ekonomistów Kolejowych RP.

Przejazdy p. Leśniakowej do Stanisławowa bądź Lwowa czy Warszawy na podstawie zniżki (80%) lub bezpłatnego biletu, bo takowe rodzina kolejowa posiadała, rzeczywiście nie stanowiły problemu. Cena biletu normalnego w pociągu

osobowym 2 kl. do Lwowa wynosiła 8,80 zł, do Warszawy 39,30. Były to, jak na owe czasy, duże pieniądze.

W Zeszycie Nr 3 w art. dr. Nikosiewicza „Kronika – kalendarium miasta i powiatu tłumackiego” jest umieszczone nazwisko inż. Antoni Holander. Zapewne chodzi tu o inż. Antoniego Hollendra, ojca znanego poety Tadeusza Hollendra rozstrzelanego przez hitlerowców w Warszawie dnia 31 V 1943 r. Tadeusz Hollender zdał maturę w Tłumaczu w 1928 roku. Do szkoły podstawowej chodził również w Tyśmienicy. W jego poezji pobrzmiewają echa o tym mieście w wierszu pt. „Ballada o starym moście”, który kończy się zwrotką:

„Kres ballady – teraz liczę
czas co ową rzeką gna
w egzotycznej Tyśmienicy
stał most – gościem byłem ja...”

Chodzi w tym wierszu o most na rzece Woronie.

Pierwszy raz wiersz ukazał się w „Gazecie Polskiej” Nr 158 1935 r. Ojciec poety inż. (geodeta) Antoni Hollender był również prezesem Polskiego NKN w Tyśmienicy.

Wspomnienia Samuela Blonda „Sprawiedliwi – prawi, nie Żydzi” ilustrują szczegółowo ten tragiczny rozdział w historii Żydów z kresowych miasteczek. Tłumaczenie jednak pozostawia wiele do życzenia i zdarzają się w nim lapsusy językowe (...)

Pozwoliłem sobie podzielić się uwagami, które nasunęły mi się w czasie dokładnego studiowania „Zeszytów Tłumackich”.

Redakcji życzę z całego serca owocnej pracy na tej niwie przez tak wiele lat nie uprawianej.

Z poważaniem
Stanisław Pelikan

Moje widzenie Tłumacza

Czesława Koczwara-Kaluża

Pod wpływem niektórych artykułów z Zeszytów Tłumackich, Cesia Koczwara-Kaluża z Krakowa przysłała swoje refleksje dotyczące opisywanych miejsc i wydarzeń.

Poniżej drukujemy obszernie fragmenty listu.

(...) Kiedy czytałam wspomnienia pana Jakubowicza, widziałam tamten las, tamte pola. Nie! To nie ja tam byłam. Ja tylko słyszałam opowiadanie krawca z Tłumacza (w 1991 r.), który urodził się i wychował w Pużnikach. Bawił się z córką pana Jakubowicza „Wandulką”, jak mówił o niej Ojciec, stojąc na stole w tłumackim więzieniu. Była towarzyszką moich zabaw – wspomina mój rozmówca – niech Pani jej powie, że nigdy nie zapomnę, ani jej, ani tamtych zabaw. A może zechce do mnie przyjechać? Ma łyzy w oczach. Niech ją pani pozdrowi! Pozdrawiam Panią Pani Wando.

Dom pp. Gabańskich

Dzięki porzeczkom i piwnicy tego domu udało mi się z Mamą przeżyć bombardowanie (lub minowanie) dworca kolejowego w Tłumaczu. Słyszę jeszcze do dziś wybuchy, widzę czarny dym i lecącą nad nami szynę kolejową. Matka wepchnęła mnie w krzak porzeczek, lecz zaraz czyjeś ręce wciągnęły nas przez wybite okienko do piwnicy. Było tam już kilka osób.

Dom pp. Gabańskich oglądałam w 1987 r. Wolno stojąca szara willa z odpadającym tynkiem stoi smętnie wśród starych drzew owocowych. W ogrodzie nie ma porzeczek. Patrzyłam w okienko piwnicy. Już zaszkłone.

Sybir

(...) Wspomnienia Ani Panachidy wstrząsnęły mną do głębi. Widzę i słyszę w opowiadaniu Ani ośmioletnią Czesię, która krzyczy „Tatko! Tatko!” Czesia – moja imienniczka, moja rówieśnica. W ten tragiczny wrzesień 1939 roku poszliśmy – nie poszły na pierwszą lekcję. Ja miałam więcej szczęścia: mnie uczyła pani Sokołowska, pan Misiecki i wielu innych polskich nauczycieli. Czesi nie uczył nikt. Nie biegała po tłumackich ulicach i ścieżkach w parku. Nie zjeżdżała na teczce z Góry Lodowej...

„Widzę” w zaspach śnieżnych i spalonych stepach Sybiru drugą dziewczynkę tłumaczankę: To Rysia Dębiec. Pamiętam wizytę Rysi u mnie w Nysie. Właśnie był to mój pierwszy kontakt z tłumaczankami – Sybirczkami. Rysia, późnym wieczorem opowiadała o momencie ich aresztowania i wywózce na Sybir. Powiedziała: „A miałam wtedy dziesięć lat.”

Tarnowica Polna

(...) Znałam wiele wsi wymienionych w rozmowach z tłumaczanami. A jednak nie każdą. Brakło mi wspomnienia o Tarnowicy Polnej. Dzięki wspomnieniom pana Blicharskiego „widzę” tarnowiczanki, kiedy przychodziły na odpust w dniu św. Anny. Ich stroje, prawie białe, bez większych ozdób, ich warkocze. Warkocze plecione w pięć, siedem pasm. Jasnowłose. (...)

Ksawerówka

Był rok 1945. Zimny deszczowy koniec maja. Pieszko poszliśmy z Mamą i kilku znajomymi ze Stanisławowa do Tłumacza. Przebywszy szczęśliwie kawał drogi przeprowadzeni nienawistnymi spojrzeniami Ukraińców, Ustaliśmy. Może nie tyle ze zmęczenia ile z zimna. Było nas ośmioro, w tym pięcioro dzieci. Moja Mama poszła do Ukrainki kupić ciepłego mleka, zaczął padać deszcz i wiać zimny wiatr. Staliśmy skostniałi z zimna, skuleni na poboczu drogi, kiedy nadjechała furmanka, którą moja Mama wynajęła (miałam 13 lat, mój brat 15 i trzech Bławatów 14 – 12 – 10 lat). Byliśmy tak przemoczeni, słabi, że człowiek, który nas wioził, skrzył w prawo. (Jakżeż bardzo przydało mi się wspomnienie pana Pelikana! Ksawerówka). Rząd rozbitych domów z czerwonej cegły. Obrzydliwa woń wydobywająca się z na wpół zawalonych piwnic. Nic suchego na ognisko. My, dzieci, nie mogłyśmy ustać na nogach ani wydobyć głosu. Ukrainiec, który nas przywiózł, kazał matkom „turlać” nas po ziemi. Matki nasze były sine z zimna. Była też z nami, nieżyjąca już, pani Iwaniuk. Miała twarz zalaną łzami. Był to nasz ostatni „wypad” do Tłumacza, który pożegnałam na trzydzieści lat.

Kościół pod wezwaniem Św. Anny

Śp. ks. Franciszka Piszczora znałam jako proboszcza, ale mając wówczas około 10-ciu lat niewiele z nim rozmawiałam. Inaczej było od dnia 27 marca 1944 roku. W czasie wkroczenia Sowietów do Tłumacza, na drodze do Pałahicz i w okolicy stawu, padło bardzo dużo żołnierzy węgierskich. Moja Mama, znająca język węgierski, była tłumaczką kapelana węgierskiego. Pamiętam ten dzień: deszcz ze śniegiem. Okropny obraz zabitych ludzi i koni. Dużo, bardzo dużo krwi. Obaj księża pochylają się nad zabitymi, znaczą ich znakiem krzyża na ostatnią drogę. Zdejmują znaczki lub medaliki z szyi, zbierają rozrzucone dokumenty, zdjęcia, listy. Moja Mama tłumaczy księdzu Piszczorowi coś, co mówi kapelan węgierski. Jakiś młody człowiek zapisuje imiona, nazwiska, adresy zabitych. Brniemy po kolana w błocie. Widzę zalaną łzami twarz Mamy. Na pewno gorzkimi! Jest bardzo związana uczuciowo z Węgrami. Jest wprawdzie urodzoną tłumaczanką, ale mając 10 lat wyjechała do Budapesztu. Tam urodziły się obie moje siostry. Do Tłumacza wróciła w 1930 roku. Nasz kontakt z śp. księdzem Piszczorem zacieśnił się. Potem często bywałam na rozbitej, zarastającej chwastami plebanii, gdzie razem z księdzem zbierałam, prostowałam, odkurzałam i segregowałam obrazki, książeczki, dokumenty. Po wojnie księdza Piszczora odwiedzałam dwa razy w Kątach

Wrocławskich. W 1952 roku otrzymałam od Niego życzenia z okazji ślubu wraz z zasuszoną szarotką. (...)

Kiedy po wojnie bywałam w Tłumaczu, stawałam na przeciw kino-teatru (stoi w miejscu kościoła – przyp. red.) i przypominałam sobie ołtarz ze świętą Anną Samotrzeć.

Jakże byłam szczęśliwa w upalny dzień lipca 1994 r., w dzień poświęcenia obrazu św. Anny w Siedlakowicach!

O Pelypku raz jeszcze

Urodziłam się w listopadzie (Skorpion-Mars). Jako noworodek (w czepku urodzony) ważyłam około 2 kg i praktycznie nie nadawałam się do życia. Nie pomogło wylewanie wody przez próg, przez miedzę i Bóg wie przez co jeszcze. Ostatni ratunek to był Pelypko! Sprowadzono więc go do mnie. Żałuję, że tego nie pamiętam, ale pamięta to dobrze moja siostra Hela. A było podobno tak: Pelypko pochylił się nad kołyską, pomacał moje chude odnóża, popatrzył na moje duże oczy, pamacał powieki i orzekł: „Detyna ne bude żyty, do nedili pomre!” Ne pomerła!!! „Detyna” przekroczyła już 64 listopad życia. Jestem namacalnym dowodem, że śp. Pelypko nie dał mi rady!

Wspomnienia, wspomnienia! Wszystkim, którzy na łamach Zeszytów Tłumackich wspominają bardzo serdecznie dziękuję! □

Czesława Koczwar-Kałuża

Tęsknota

*Wysoko w błękitie,
dwa ptaki leciały,
A lecąc nad Lwowem,
trzeciego spotkały.
Zatrzymał ksiądz braci.
A kiedy usiadł przy siwiutkiej głowie,
Leciwy staruszek te słowa wypowie:
Ptaki, bracia moi,
Ptaki siwopióre,
Lećcie wy nad Tłumacz
nad lodową górę.
Usiądźcie na "Sokół" na wieżę kościoła
i spójrzcie czy jasno, czy radość dokoła.
Zaplakały ptaki po proboszcza mowie,
a kiedy lzy wyschły, starszy ptak odpowie:
Bracie, my lecieć tam już nie możemy,
Nie wolno nam przecież –
a tak bardzo chcemy.
Już nie nasze lasy, już łąków nie mamy
i kościoła nie ma, tam gdzie Tłumacz stary.
Pochyliły głowy trzy ptaki srebrzyste
i szepnęły cicho:
Płyn ty Dniestrze czysty!
Płyn przez Niżniów stary,
Płyn pod Horodenkę
zabierz na swych falach
tęsknoty udrekę.*

Lista Ofiarodawców w I kwartale 1997

Józefa Agopsowicz, Myślubórz	5,00
Zygmunt Boniowski, Kraków	12,00
Jadwiga Chruszczyk, Toronto	20 \$
Helena Dewant, Nysa	6,00
Andrzej Gabański, Anglia	50,00
Wanda Fedorowicz, USA	10 \$
Janina Głębocka, Warszawa	22,00
Józef Ilczyszyn, Wrocław	4,00
Wincenty Kłonowski, Wrocław	6,00
Janina Kubica, Warszawa	2,00
Stefania Mańkowska, Nowy Sącz	72,00
Władysław Mazur	2,00
Roman Sak, Australia	100 \$
Antonina Sawicka, Opole	4,00
Ludmiła Tchosz, Kraków	22,00
Irena Tomyn, Warszawa	12,00
Karol Zevadi Sderot, Izrael	50 \$

*Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom
składamy najserdeczniejsze
podziękowania.*

† Odeszli

Dnia 5 XII 1997 roku zmarła Profesor **Barbara Muszyńska-Nikosiewicz**, wierna towarzyska życia naszego Nestora, dr. Michała Nikosiewicza. Zmarła sprzyjała pasjom kronikarskim swojego męża, czym zasłużyła sobie na naszą wdzięczność i pamięć.

Tą drogą składamy Panu Doktorowi wyrazy współczucia w imieniu wszystkich tłumaczan.

Zarząd Klubu i Redakcja

W dniu 13 X 1996 r. zmarł nagle w Nowym Sączu lekarz stomatolog **Zbigniew Jeżowski**, tłumaczanin urodzony 2 IX 1928 r. w Stanisławowie.

Zasłużony społecznik, prezes Związku Sybiraków w Nowym Sączu, członek Towarzystwa Stomatologicznego w Krakowie.

Wyrazy szczerego współczucia Rodzinie i Bratu zmarłego, ks. L. Jeżowskiemu składają

Tłumaczanie

Dnia 18 lutego 1997 roku odeszła od nas po długiej i ciężkiej chorobie śp. **Anna Kłonowska z d. Zajązkowska**, urodzona 12 grudnia 1927 r. w Tłumaczu w rodzinie od pokoleń związanej z naszym miastem. Spoczęła 20 lutego 1997 r. na Cmentarzu Swojczyckim na Ziemi Wrocławskiej, która zastąpiła Jej Ziemię Tłumacką.

Cześć Jej pamięci!

Informacje

– Ponownie przypominamy, że składki członkowskie naszego Klubu wynoszą dla emerytów 1,50 zł miesięcznie, tj. 18,00 zł rocznie.

– Prenumerata kwartalnika „Zeszyty Tłumackie” na 1997 rok wynosi 16 zł.

– Wszelkie wpłaty, łącznie z datkami na fundusz wydawniczy, można wpłacać na konto bankowe Klubu Tłumaczan: PKO BP IV O/Wrocław Nr 10205255-107099-270-1-111.

Uwaga Tłumaczanie!!!

Jak co roku, spotykamy się na wspólnych wczasach w Kołobrzegu w Wojskowym Ośrodku Wczasowym przy ul. Arciszewskiego 6 w terminie od 1 VI do 14 VI 97.

*Do miłego zobaczenia
Zarząd Klubu*



BANK ZACHODNI S.A.

Jesteśmy bankiem uniwersalnym, oferującym szeroki wachlarz usług zarówno osobom fizycznym, jak i podmiotom gospodarczym.

Posiadając odpowiednie fundusze własne i rezerwy gwarantujemy bezpieczeństwo pieniędzy powierzonych nam przez klientów.

Wspomagamy nie tylko instytucje gospodarcze, lecz staramy się przyczyniać do rozwoju nauki i kultury polskiej, sponsorując tym razem kolejne wydanie pisma Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich pt. "Zeszyty Tłumackie".

Mamy zaszczyt zaprosić Państwa do ponad 165 naszych placówek na terenie całego kraju, w których zawsze jesteśmy...

***...solidni – jak nakazuje tradycja
nowocześni – jak wymaga przyszłość***



Mapa województwa tarnobrzegiego